

Adam Nowak

Moje wspomnienia

Rocznik Kolbuszowski 5, 97-140

2001

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Moje wspomnienia

Przeżywszy lat 81 postanowiłem napisać o swoim życiu od lat najmłodszych do lat najstarszych. O wszystkim będę starał się pisać prawdę. Pisząc będę kierował się pamięcią, bo innych dowodów nie będę miał wiele. Dużo zapisków, notatek zaginęło podczas wojny, wysiedleń a dużo i sam zniszczyłem. Zdaję sobie sprawę z tego, że dokładne opisanie życiorysu będzie trudne, bo i pamięć nieco już zawodzi. *Zacznę od życiorysu.* Mając lat 6 przed rozpoczęciem roku szkolnego starsza siostra Hanka wzięwszy koguta czy kurę dla kierownika, bo taki był zwyczaj i poprowadziła mnie do szkoły, do zapisu. Nauczyciel, który nas przyjmował pytał każdego o imię i nazwisko. Jedni odpowiadali z łatwością, inni z trudem, inni zaś nic nie odpowiedzieli, za to odpowiadali za nich ich opiekunowie i tak kończyła się nauka w pierwszych dniach. Następnie nauka codziennie zaczynała się modlitwą: Ojcze nasz, Zdrowaś Mario i kończyła się tą samą modlitwą. Pierwsze dwa lata chodziliśmy do szkoły codziennie po południu z wyjątkiem świąt i niedzieli. Chcąc ukończyć szkołę powszechną (podstawową) trzeba było uczęszczać do szkoły przez lat 6. A ponieważ w Lipnicy była 3-klasowa szkoła więc do każdej klasy uczeń musiał uczęszczać po 2 lata. Nauczanie było trudne. Dzieci dużo, np. w pierwszej klasie było około 100 czyli we wszystkich trzech około 300. Nauczycieli było dwóch, później około 1910 r. - czterech. Dużo dzieci do szkoły nie uczęszczało przeważnie w lecie, pasąc bydło i pomagając w pracach polowych. Byli również i tacy, którzy unikali szkoły bez ważnej przyczyny, walęśając się i robiąc szkody w ogrodach i sadach sąsiadom pracującym w polu. Mnie jako nie złego ucznia rodzice mieli zamiar oddać do gimnazjum. W tym też celu do egzaminu wstępnego przygotował mnie i kilku kolegów tj. Adama Węglarza, Józefa Guminiaka i swego syna Romualda kierownik szkoły Jakub Wawrzaszek. Naukę musiałem przerwać z powodu śmierci ojca i zostać w domu przy gospodarce. Gospodarstwo 24 morgowe. Roboty dużo, oprócz pasienia bydła, koni itp. trzeba było mleć na żarnach, tłuc w stępie, orać, bronować i wiele innych.

Mając 14 lat wszystko robiłem. Było nas dzieci 6-ro, tj. Anna, Adam, Maria, Antoni, Katarzyna i Paweł. Najstarsza siostra Anna wyszła za mąż za Józefa Kwaśnika w 1902 roku, gospodarza na 18 morgach pola. Najgorzej było z wianem, na które Ojciec zgodził się wypłacić 1.000 reńskich. Do tego doszły koszta weselne: zapisy - intabulacje, wyprawy poślubne, które

w ogólnej sumie wyniosły około 1.400 reńs. (tysiąc czterysta złotych reńskich) = około 550 dolarów. Suma dość duża. Za dobrego konia płacono około 50 reńskich, za krowę - 30 reńskich, korzec żyta 5 reńskich, zniwiarz za jeden dzień pracy - 1/2 reńskiego = 1 koronę. Ojciec nie posiadając gotówki na wszystko pożyczał i popadł w długi, z tego też powodu dochodziło do kłótni z matką. Ojciec może z tej przyczyny zaczął często zaglądać do kieliszka, zaniedbując chylące się ku upadkowi gospodarstwo. Z tej przyczyny ojciec zachorował i zmarł dnia 27 kwietnia 1903 r.

Zostaliśmy bez ojca, matka z pięciorgiem dzieci z których najstarszym byłem ja. Śmierć ojca sprawiła mi wielką boleść. Nie mogłem się wstrzymać od płaczu. Czułem się najniezwyklejszym z nieszczęśliwych. Matka chcąc utrzymać gospodarstwo musiała dużo pracować a my w miarę sił dopomagaliśmy jej. Jednak pomoc ze strony dzieci była słaba. Do każdej najważniejszej roboty trzeba było najmować, co powodowało wielkie koszty i nie można było związać koniec z końcem. Nieraz zamierzałem o wyjeździe za granicę, np. do Ameryki, aby zarobić coś pieniędzy i dopomóc matce, lecz szkoda mi było młodszego rodzeństwa, bo nie mógł mnie kto zastąpić w gospodarce. Tak dotrwaliśmy do dwudziestego roku mego życia.

W roku 1910 jako rocznik poborowy zostałem uznany za zdolnego do służby wojskowej i przydzielony zostałem do 17 pp w Rzeszowie. Po wydłużeniu 6 miesięcy jako jedyny żywiciel rodziny zostałem urlopowany i powróciłem do domu. I znów zaczęła się ta sama praca. Pracowaliśmy razem z mamą i młodszym rodzeństwem do 1914 r. Mając jeszcze wcześniej zamiar wyjechać do Ameryki wstrzymałem się z tym zamiarem. Postanowiłem wprawdzie ożenić się, a potem wyjechać. Do żeniaczki nadarzyła się sposobność. Niedaleko od mojej ojcowizny na stronie północnej pod nr 48 żyła wdowa Regina Grądzka po drugim mężu Drapałowa, wraz z synem Józefem i córką Marią, gospodarującą na 8 morgach gruntu. Wspomniany grunt była w zamiarze dać synowi Józefowi a córce Marii nałożyć spłatę po około 2.500 zł r., równowartości około 1.000 dolarów. Pomyślałem sobie, że tysiąc dolarów pasowałoby do mojego gospodarstwa z mojej ojcowizny 712 mórg pola, która była obciążona długiem i spłatą rodzinną. O swoim zamiarze opowiedziałem swojej narzeczonej, która zgodna była wyjść za mnie jeśli jej matka zgodzi się na to. Więc na umówiony dzień przyszedłem do matki i przyszłej teściowej, przedłożyłem swoją prośbę, że chcę się zenić z Marią i czy zechce przyjąć mnie za zięcia. Matka wysłuchawszy moją prośbę powiedziała, że zgadza się, ale żeby na tę zgodę przyszła moja mama. O tym wszystkim opowiedziałem mojej Mamie, prosząc ją aby poszła na zgodę, na co Mama zgodziła się. Po przyjeździe zaczęły się rozmowy, plany gospodarcze, jak zwykle w takim czasie i w końcu postanowiono dać na zapowiedzi. Na początku roku tj. 4 lutego 1914 odbył się nasz ślub. W następny zaś tydzień odbył się ślub brata żony Józefa z wdową Grądzka, sąsiadką mojej ojcowizny. Po ślubie brat Józef powiedział, że siostry /to znaczy mojej żony / nie spłaci,

bo się ożenił z taką, która ma gospodarstwo i że jemu pasuje wziąć spłatę. Dla nas plan szwagra był nie zadowalający. Bo skąd było wziąć pieniądze na spłatę. Nie ma innej rady, trzeba jechać do Ameryki. Ale najpierw pogodzić się z bratem, który w ostateczności zgodził się na spłatę w wysokości 2.500 zł reńskich czyli około 1.000 dolarów. Żona mając około 1.500 koron gotówki wypłaciła brata *zaraz* przy kontrakcie, a reszta jako dług został zainstabulowany na gruncie.

Rok 1914 był rokiem urodzajnym. Żniwa rozpoczęto dość wcześnie, tak że na 25 lipca wszystko zboże, oprócz owsa było zwiezione do stodół. Pamiętam to dobrze bo na dzień 26 lipca otrzymałem kartę powołania na 4 tygodniowe ćwiczenia wojskowe na które odwoził mnie Paweł. Jechaliśmy przez Zembrzę. Dojeżdżając na skraj lasu w pobliżu pól widelskich wyskoczył zając i przeleciał nam drogę. Mówię do Pawła poganiaj konia bo zauważyłem, że zając ma ochotę powrócić i jeszcze raz przelecieć. Nie wierząc w żadne przesady, lecz biorąc pod uwagę uporczywe przelatywanie zająca przyjąłem to za zły znak i że w tej podróży spotka mnie jakieś nieszczęście. I rzeczywiście. Od 1912 roku z powodu aneksji Bośni-Hercegowiny przez Austrię wojna z Serbią wisiała na włosku. W roku 1914 przez zamordowanie następcy tronu austriackiego wraz z jego żoną przyspieszyło wybuch I wojny światowej. Po przyjeździe do Rzeszowa, pożegnawszy się z bratem Pawłem, zgłosiłem się zgodnie z kartą powołania do 8 kompanii 17 pp na Wygnańcu, gdzie zostałem umundurowany i następnego dnia zaczęły się normalne ćwiczenia wojskowe. Po tygodniu podczas ćwiczeń na błoniach Przybyszówki, przybiegł ordynans z rozkazem aby wszystkie oddziały tam znajdujące się powróciły do koszar bo wybuchła wojna i ogłoszona jest ogólna mobilizacja. Po przybyciu do koszar, zarządzono wielkie przygotowanie pomieszczeń dla rezerwistów, którzy będą wcielani do pułków. Mobilizacja obejmowała wszystkich wojskowych do lat 42. Wszędzie wielki ruch. Masy rezerwistów podążało do przeznaczonych pułków. W drugim dniu mobilizacji przybyli do Rzeszowa rezerwiści z Lipnicy. A było ich może około 100 chłopca. Wszyscy byli przejęci co z tego będzie. Czy może powtórzy się rok 1912, gdzie przetrzymano rezerwistów parę miesięcy i w końcu rozpuszczono do domów? Jednak w tym roku 1914 było co innego. Wszystkie pułki pośpiesznie uzupełniano tak, że po 3 dniach w całym garnizonie rzeszowskim wszystkie pułki gotowe były do marszu.

W dniu 4 sierpnia odprawiona była Msza św. polowa i przysięga na wierność cesarzowi, krajowi itp. Po tych uroczystościach pułk powrócił do koszar. W następny dzień tj. 5 sierpnia 1914 r. rano zbiórka całego pułku na placu koszarowym skąd odmaszerowaliśmy w kierunku ul. 3 Maja i dalej maszerując ul. Krakowską w stronę pociągu stojącego na torze kolejowym. Podczas odmarszu ulicami Rzeszowa masy ludności żegnały odchodzące wojsko rzucając kwiaty itp. Między wieloma zauważyłem swoją żonę, która przyjechała na pożegnanie. Na pytanie: Czy powrócimy do koszar, odpowie-

działem, że już odjeżdżamy. Na tym skończyło się nasze pożegnanie, o którym nie raz pomyślałem czy nie było to ostatnim? Nie pamiętam już czy cały pułk ale prawdopodobnie nasz cały 3 batalion, bezzwłocznie załadował się do wagonów i natychmiast odjechał w kierunku wschodnim. Przyjechawszy do Przeworska, po uformowaniu kolumn marszowych wyruszyliśmy w stronę wsi Gniewczyna, powiat łańcucki. Marsz był bardzo męczący. Upał wielki. Ciężki tornister wraz z uzbrojeniem przywierał do ciała. Pot lał się strumieniami. Dużo żołnierzy padało z omdlenia (przeważnie Żydów) i musiano ich odwozić na wozach. Po około 3 godzinnym marszu dotarliśmy do wsi Gniewczyna. Wieś duża i zamożna. Po przybyciu rozlokowano nas w stodołach, szopach, rzadko w domach. Zresztą z zakwaterowaniem nie było trudności bo sierpień był pogodny i ciepły. Ćwiczeniami zbytnio nas nie obciążano. Przyzwyczajano nas do marszu w pełnym rynsztunku i to na dalszą odległość. To znów poprawialiśmy drogi i mosty. Któregoś dnia odczytano zarządzenie Ministerstwa Wojny, że złamanie przysięgi, niewykonanie rozkazu grozi karą śmierci. Za inne mniejsze przewinienie należące do łagodnych, karą słupek, którą to karę na własne oczy widziałem. Człowiek związane miał z tyłu ręce i był powieszony na słupie tak aby lekko palcami dostawał do ziemi. Wartownik, który pilnował powieszonoego, widząc mdlejącego polewał go wodą. Twarz tego nieszczęśliwca była nabrzmiała, oczy wylupiaсте, na ustach piana. Sam widok ofiary ścinał krew w żyłach. To się działo w państwie arcykatolickiego cesarza Franciszka Józefa I. Tego rodzaju tortur zaniechano w r. 1916. A rzecz się miała tak: kapelan Legionów ks. Ciepichał zauważył pewnego poranka dużo żołnierzy (Węgrów) wiszących na drzewach wielkiego ogrodu. Ksiądz nie namyślając się wiele porwał wielki nóż i nie zważając na wartowników odciął wszystkich wiszących. Cała ta komedia skończyła się na alarmie z jednej i drugiej strony, tj. Legionistów i Austriaków. Rzecz się miała na froncie gdzieś na Podlasiu. Szlachetny czyn ks. Ciepichała zmusił władze wojskowe austriackie do zaniechania tych drakońskich tortur. Ale powrócę do kwater w Gniewczynie na których byliśmy około 2 tygodni. Około 20 sierpnia wyruszyliśmy w kierunku północno-wschodnim. Przechodząc przez pontonowy most na Sanie doszliśmy do miejscowości Sieniawa w której były masy wojska różnych formacji a najwięcej oddziałów saperskich. Wojsko pracowało, budowało schrony i umocnienia, rowy strzeleckie itp. Wszystko to jednak nie stanowiło wielkiej przeszkody dla Moskali, bo oni obeszlili Sieniawę i zajęli ją nie tracąc wcale ludzi. Maszerując w strasznym upale i kurzu doszliśmy do granicy Królestwa Polskiego, kierując się na miasteczko Tarnogród.

Po przekroczeniu granicy dało się zauważyć inną gospodarkę, inny świat. Drogi liche, nie poprawione, pełne wybojów. Daleko gorsze niż po stronie galicyjskiej. Tak wlokąc się doszliśmy do miasteczka Tarnogród, w którym przeważał element żydowski. Ulice piaszczyste i pełne dziur, niczym nie przypominające miasteczka oprócz Żydów. Całe wojsko po 12 godzinach

marszu było tak zmęczone, że gdy późnym wieczorem przywieziono kaszę, nikt nie mógł podnieść się aby ją przynieść. Z całej kompanii 280 chłopów, zgłosiło się dwóch tj. ja i jakiś drugi kolega i wszystkich obsłużyliśmy za co wszyscy byli rano bardzo wdzięczni.

Następny dzień tj. 22 sierpnia był wolny. W dniu 22 sierpnia odmarsz w kierunku Biłgoraja. Do Biłgoraja przybyliśmy 23 sierpnia przed wieczorem. Po spożyciu obiadu rozlokowaliśmy się po kwaterach. Ja z ciekawości poszedłem przejść się po mieście. Wszędzie masy wojsk różnych formacji. Nigdzie nic nie można kupić. Tak łażąc spotkałem Jasia Sudoła, który był w tym samym pułku tylko w innej kompanii. Pogawędziliśmy chwilę, weszliśmy do kościoła pomodlić się o szczęśliwy powrót. Po wyjściu z niego napotkaliśmy markietankę, wypiliśmy po kieliszku wódki, na którą nie mieliśmy ochoty. Ot tak chcąc oddać zmęczenie ale to nic nie pomogło. Powracając na kwatery usłyszeliśmy alarm. Całe wojsko biegło w różnych kierunkach głośząc, że jakiś silny oddział rosyjski pojawił się w okolicach Biłgoraja. Po jakimś czasie uspokoiło się i wojska udały się na spoczynek. Na drugi dzień rano tj. 24 sierpnia w sam dzień św. Bartłomieja pobudka i odmarsz w kierunku północno-wschodnim od Biłgoraja. Podczas marszu słyhać było strzały artyleryjskie. A w miarę naszego marszu huk strzałów stawał się wyraźniejszy. Tak maszerując weszliśmy w jakiś niewielki las. Po przejściu lasu weszliśmy na szerokie pole z kartoflami ale już rozwinięci w tyralierę. Rosjanie zauważywszy nas otworzyli silny ogień z broni ręcznej i maszynowej. Nasza tyraliera aby uniknąć celu ile sił w nogach biegła do podnóża góry, gdzie przywarliśmy do ziemi, otworzyliśmy silny ogień karabinowy na Moskali. Po jakiejś godzinie ogień zaczął słabnąć aż zupełnie ucichło. Oficerowie zarządzili zbiórkę, wyznaczyli linię obronną, postawili warty i w takim stanie oczekiwaliśmy dalszych wypadków. To był pierwszy dzień wojny austriacko-rosyjskiej na odcinku naszej armii Aufenberga. Ilu było zabitych a ilu rannych tego nie wiem. Jednak straty były znaczne. W tym samym dniu widziałem pierwszych jeńców rosyjskich w liczbie około 100 żołdatów, chłopcy młode z dobrym wyglądem. Pierwsza noc na linii bojowej była dość spokojna. Tylko tu i ówdzie słyhać było strzały karabinowe i widać było łuny pożarów. Na drugi dzień 25 sierpnia bardzo wcześnie dalsze posuwanie się w głąb Guberni Lubelskiej. Lecz z każdym dniem opór Rosjan stawał się silniejszy, jednak armia austriacka chociaż z trudem ale posuwała się naprzód, ponosząc wielkie straty. Wyczerpanie wojska było wielkie. Brak żywności, wody, snu najsilniejszych zwał z nóg. Wśród codziennych walk i silnego ognia karabinowego i armatniego doszliśmy do linii kolejowej Lublin - Trawniki. Od tego miejsca wojska austriackie zaczęły się cofać na całej linii - ostrzeliwując się w dzień, a w nocy cofając się na inne pozycje. Przypominam sobie, że gdzieś w rejonie Rejowca Rosjanie uderzyli wielką siłą ognia karabinowego i armatniego i zmusili Austriaków do cofnięcia się. Straty naszego 17 pp były bardzo wielkie. Leżąc w pustym polu w tyralierze

nie byliśmy w stanie i nie mieliśmy czasu na to aby zbudować choć jakieś prymitywne ukrycia. Stanowiliśmy dobry cel dla nieprzyjaciela. Dzień o którym piszę był dla mnie mimo wszystko dniem szczęśliwym. Otóż mój sąsiad z lewego boku został zabity a z prawego ciężko ranny, mnie zaś kulka liznęła lekko w łydkę lewej nogi i zrobiła kilka dziur w spodniach. Pod wieczór na naszym odcinku ogień osłabł, tylko na skrzydłach naszej linii słysząc było silny ogień z broni ręcznej i huraganowy huk artylerii.

Korzystając z osłabienia ognia nieprzyjaciela i zgodnie z rozkazem opuściliśmy dotychczasowe schrony i ruszyliśmy w kierunku jakiejś wsi, w której zarządzono zbiórkę kompanii. Okazało się, że blisko połowa ludzi brakuje. Widocznie zostali zabici lub ranni.

Nareszcie nadjechały kuchnie. Rozdano jedzenie i znów zbiórka i marsz w nieznaną. Maszerowaliśmy do późnej nocy. Plątałyśmy się po polach i lasach. Napotykalibyśmy okopy austriackie. Dużo zabitych i bardzo dużo łusek z wystrzelonych naboju, dowodziło o wielkich walkach w tym rejonie w dniu wczorajszym.

Nie zatrzymując się maszerowaliśmy w dalszym ciągu, gdzieś około północy przybyliśmy do jakiejś wioski w której było pełno śpiącego wojska z różnych formacji. Nasze oddziały również to samo uczyniły. Skoro jeszcze kiepski świt obudziła wszystkich silna strzelanina. Zarządzono alarm i zbiórkę. Trochę postrzelano i dalej cofać się. A było to gdzieś na terenie powiatu krasnostawskiego. I tu pomyślałem, że te nocne marsze nie były czym innym tylko cofaniem się. Robiąc to znaleźliśmy się na jakimś szerokim polu pod niewielkim lasem. Dowódca, który dowodził tym oddziałem zeskoczył z konia oddając go w moje ręce. Powiedział: "Pilnujcie tego konia aż kogoś po niego wyślę lub sam przyjdę". I dał rozkaz dalszego marszu w kierunku południowym skąd było słyszeć gęste ostrzały karabinów i huk armat. Ja trzymając konia patrzyłem na oddalające się oddziały i niby zadowolony byłem, że chociaż dzisiaj na pierwszej linii nie będę. Ale co dalej będzie? Tak rozważając wprowadziłem konia na skraj lasu, w miejsce niewidoczne i bardziej bezpieczne, chociaż i tu często bzykały kulki a czasem i szrapnel się zabłądził, ale już rzadko. Po południu strzały się oddalają. Czasem zupełnie milkną, tylko gdzieś daleko na południu silny huk artylerii. Niebo się zachmurzyło, zaczął padać deszcz. Ja nie wiedząc, gdzie się znajduję uwiązałem do drzewa, wysunąłem się na przedpole i pomyślałem sobie, czy czasem nie jestem poza linią rosyjską, bo w dali około 1/2 kilometra zauważyłem dużo wojska maszerującego w zwartym szyku w kierunku południowym. Nie tracąc czasu wróciłem do konia. Koń spokojnie ogryzał gałązki drzewa zaspokajając głód. A ja tym czasem wziąłem się do rewizji toreb przywiązanych do siodła. Jednak nic nie znalazłem. Postanowiłem wsiąść na konia i pojechać w kierunku w którym odeszło wojsko zostawiając mnie z koniem. Koń zamiast iść naprzód cofał się i stawał dęba. Po dwukrotnej próbie, widząc, widząc że z tego nic nie będzie uwiązałem konia i myślę

sobie co tu robić? W tym zamyśleniu usłyszałem strzały karabinowe w niedalekiej odległości. Nie namyślając się skoczyłem na mały pagórek na którym było małe zagłębienie porośnięte gęsto sosenkami i tam się ukryłem. Po chwili usłyszałem turkot wozów. Wychyliłem głowę z ukrycia i widzę wojsko rosyjskie. Idą, rozmawiają dość głośno prowadząc konie zaprzęgnięte do dwukółek na których spoczywają karabiny maszynowe. Przymaszerowało ich około 200 żołdatów i po tym nastąpiła zupełna cisza. Robi się ciemno. Deszcz się zмага. Ja wylazłem spod sosenki i dalej rozmyślałem, co robić. Iść do niewoli? W pojedynkę niebezpiecznie. Zresztą nie ma do kogo. Tak myśląc zauważyłem czterech ludzi idących w kierunku gdzie stałem. Gdy podeszli blisko poznałem ich, byli to: 1 feldfebel (sierżant), 1 kapral i 2 szeregowych. Wszyscy z rzeszowskiego 17 pp. Opowiedzieli, że wysłani byli na patrol i że pobłądzili i nie mogą wydostać się z lasu. A ponieważ już jest ciemno, postanowili przenoćować w lesie, a skoro świt próbować dostać się do swoich. Deszcz rozpadał się na dobre. Dookoła słychać huk strzałów armatnich zbliżający się szybko do lasu, w którym stoimy. Naraz usłyszeliśmy pojedynczy huk szrapnela pękającego niedaleko. Za chwilę otworzono silny huraganowy ogień. O wyjściu z lasu nie było mowy. Ciemność straszna i huk pękających pocisków, łamanie drzew i gałęzi, powiększało niebezpieczeństwo. Jednak postanowiliśmy czekać do rana na miejscu. Jak Bóg da, tak będzie, innego wyjścia nie ma. W dalszym ciągu bombardowania nie ustają. Huk armat połączony z błyskawicami i piorunami powiększał jeszcze okropność strasznej nocy. Po północy deszcz przestał padać. Strzały umilkły. Podnieśliśmy się z ziemi a raczej z błota. Podziękowawszy Bogu za opiekę i że wszyscy zdrowi jesteśmy, postanowiliśmy czekać na miejscu do świtu. Skoro zaczęło się widnieć ruszyliśmy w kierunku wsi aby dowiedzieć się gdzie jesteśmy. Idąc przez las napotykaliliśmy dużo dołów od pękających granatów, połamanych drzew i gałęzi. Jaka była przyczyna bombardowania tego lasu? Czy przez wojska austriackie, czy przez rosyjskie? Tego nie mógł nikt wytłumaczyć. Tak idąc doszliśmy na skraj lasu pod którym stała chałupa. A ponieważ byliśmy bardzo głodni i zmoknięci postanowiliśmy wejść do środka. Wszedłszy do izby w której była kobieta z dziećmi przestraszyła się bardzo. Ja starałem się uspokoić ją, tłumacząc jej, że nie jesteśmy żadnymi wrogami, tylko takimi samymi Polakami jak ona i że tylko los rzucił nas w odmierne położenie, i czyżby nie miała coś do jedzenia. Kobieta odpowiedziała, że nie ma nic, bo z powodu walk dom musiała opuścić. Powiedziała, że niedaleko jest wioska w której będzie można coś dostać do zjedzenia. A więc idziemy w kierunku wsi. Na drodze spotykamy dużo ludzi idących do lasu. Widocznie z ciekawości chcą widzieć skutki nocnego bombardowania. Wszyscy, którzy przechodzili obok nas, mówili nam, że jesteśmy poza linią wojsk rosyjskich i że wczoraj widzieli dużo jeńców austriackich prowadzonych przez Rosjan. Po jakiejś pół godzinie doszliśmy do wioski i weszliśmy do pierwszej chałupy. Zaraz opowiedzieliśmy o swojej po-

trzebie. Czy nie można dostać coś do zjedzenia? W domu 3 ludzi /2 kobiety i 1 mężczyzna/. Wszyscy młodzi. Powiedzieli, że chleba nie mają, bo z powodu walk nie piekli go, bo musieli opuścić dom. Jednak jeżeli chcemy poczekać to mogą ugotować kartofli. Na to chętnie zgodziliśmy się. Kobiety zaczęły obierać kartofle a chłopu przygotowały maśniczkę i kazały robić masło. Jedna z nich rozpałała ogień na kominku i zastawiła kartofle w dość dużym garnku. Po ugotowaniu kartofli obiad był gotowy. Następnie gospodarz powiedział nam, że musimy zgłosić się do sołtysa, bo takie jest zarządzenie i boi się nas nocować, bo może być ukarany. W tym czasie nadszedł inny gospodarz z tej samej wioski. Rzekł on do nas aby pójść z nim to nas przenocuje a jutro rano zamelduje sołtysowi. A więc idziemy. Wchodzimy na podwórze. Zabudowania ładne, duży sad. W tej chwili, gdyśmy byli blisko domu, wylatuje kobieta z krzykiem na gospodarza, po co ich tu prowadzisz? Ja tu nikogo nie potrzebuję, niech sobie idą dalej itp. Gospodarz uspokajał kobietę słowami: cicho bądź, przenocują się i jutro pójda dalej - wskazał nam równocześnie szopę pełną słomy. Idźcie i śpijcie! Cośmy chętnie uczynili bo byliśmy bardzo zmęczeni.

Po trzydziestu dniach ciężkich przemarszów i codziennych walkach i tyleż nie przespanych nocach, pierwszą noc spałem spokojnie. Dookoła cisza, tylko gdzieś daleko słychać dudnienie artylerii. Wypawszy się do woli, słysząc, że gospodarz wstał wcześniej, opowiedziałem mu gdzie został koń pilnowany przeze mnie dnia poprzedniego i żeby pojechał w to miejsce. Gospodarz natychmiast zaprzęgnął konia do wozu i udał się we wskazane miejsce, ale konia nie znalazł. Widocznie ktoś go uprowadził, ale przywiózł kilka worków owsa i dużo upręży porzuconej przez cofające się wojska austriackie. Jednym słowem opłaciło mu się. Gospodyni udobruchała się, ugotowała śniadanie. Pojedliśmy, gospodarz powrócił od sołtysa oznajmiając nam, że jak przyjdzie żołdat to go wyśle po nas. Było to 8 września, dzień Matki Boskiej Siewnej. Dzień pogodny i ciepły. Siedzimy i czekamy. Wchodzi żołdat z sołtysem i dwóch jeńców austriackich. A więc jest nas siedmiu. Sołdat podszedł do nas i wita się z nami przez podanie ręki. Pierwsze słowa to: "My wasze, wy nasze" i że Lwów już przez Rosjan zajęty i że teraz wojska rosyjskie idą na Kraków. Następnie zabrał od nas manierki i kazał nam czekać aż po nas przyjdzie. Oczekując na żołdata, a był to podoficer (plutonowy), w międzyczasie podziękowaliśmy naszemu dobroczyńcy, że nas przenocował i nakarmił. Powymienialiśmy między sobą adresy. Adres naszego gospodarza: Stanisław Sliwiński, wieś Olesie, gmina Gorzków, pow. Krasnystaw.

Oto podjeżdża furmanka parą dobrych koni. Sołdat staje na wozie, podnosi manierki i woła, brać czyja która jest! W każdej jest mleko. Daje wielki bochen chleba i mówi: kuszajta! Następnie siadamy na wóz i jazda w kierunku północnym. Na drodze spotykamy ogromne masy wojsk rosyjskich, maszerujące po obu stronach drogi. Drogą (szosą) maszerują artyleria, ta-

bory i inne oddziały wojsk inżynieryjnych. Pod wieczór przejeżdżamy tor kolejowy Lublin - Chełm. Po obu stronach toru aż żółto od łusek karabinów austriackich, co potwierdzało, że tu przedwczoraj były silne boje. Tak jadąc dojechaliśmy do stacji Trawniki i oddano nas komendantowi stacji. Tenże odesłał nas do jakiejś jednostki wojskowej, tam zaś umieścili nas w magazynie, w którym było dużo wojska. Wszyscy mieli lampasy na spodniach -widocznie Kozacy. W kącie magazynu, który mocno pachniał naftą ułożyliśmy się na gołej cementowej podłodze. Lecz z powodu zimna i śpiewu żołdatów zasnąć nie można było. Skoro świt Kozacy odjechali a nas dołączono do pociągu idącego do Chełma wyznaczonego na punkt zborny dla jeńców i innych trofeów wojennych. Chełm przedstawiał sobą wielkie obozowisko masy jeńców różnych formacji i narodowości. Dużo broni, różnego kalibru armat, broni ręcznej i maszynowej, koni, wozów itd. Wszystko to mieściło się w jakimś ogrodzie do którego przylegały wielkie baraki, w których ustawiono prymitywne stoły i ławy służące do podawania posiłków dla wojsk jadących na front i dla jeńców. Z jedzeniem jako -tako, tylko ze spaniem bardzo źle. Spaliśmy pokotem na gołej ziemi. Noce były chłodne. Tak męczyliśmy się 3 doby. Około 16 września, gdy nazbierało się dużo jeńców, zaprowadzono nas do pociągu i do każdego wagonu przeznaczono po 40 ludzi (wagony liepłuszki) a było tych wagonów w pociągu około 50. Po zajęciu miejsca odjechaliśmy do Kijowa, a była to niedziela czy jakieś inne święto. Dzień był pogodny. Rosjanie chcąc pokazać manifestacyjnie ilu jeńców zabrali, podzielili nas na kilka grup i nieraz dwukrotnie przeprowadzali nas tymi samymi ulicami. Ludność Kijowa witała jeńców oklaskami. Rzuciała papierosy, a były też i inne wypadki. Jakaś pani słysząc mowę polską wyrzekła słowa: "tacy młodzi ludzie zamiast walczyć to idziecie służyć tym złodziejom, powinniście się wstydzić". Po tych manifestacjach poprowadzono nas do wielkiego ogrodu do którego puszczano nas przez wąskie wrota. Po obu stronach wrót stali żołdaci i zabierali nam niektóre niezbędne rzeczy, jak chlebaki, kociołki, manierki i inne służące do osobistego użytku. Przez odebranie potrzebnych rzeczy wyrządzono nam wielką krzywdę, ponieważ nie było czym jeść ani napić się. Następnie ustawiono nas w dziesiątki (w szeregu po 10). Każdemu w pierwszym szeregu dano naczynie, coś w rodzaju wielkiej blaszanej miski i zapowiedziano aby każdy pilnował tej miski do której dziesiątki należy i dali rozkaz: po obiad! Każdy staje w szeregu swojego dziesiątnika, dostaje funt chleba i po kilku minutach jest już po obiedzie. Następnie zaprowadzono nas do wielkiego budynku. Obszerne sale opuszczone przez wojsko, przygotowane widocznie dla jeńców. We wszystkich salach nasłano słomy na której dobrześmy się wyspali. Na drugi dzień wsiedliśmy do pociągu i jazda na wschód. Trasa prowadziła przez następujące miasta (wymieniani tylko większe): Kijów, Kursk, Saratow, Samara, Ufa, Czelabińsk, Petropawłowsk, Omsk, Nowomikołajewsk. Tutaj koniec podróży koleją. Przesiadamy się na statek i rzeką Ob dopłynę-

liśmy do miasta Barnaul, położonego u podnóża Gór Altajskich. A więc cała podróż trwała 21 dni. Na większych stacjach wydawano obiady, a gdy to było niemożliwe z powodu przeciążenia kuchni przez wojska rosyjskie, które na front, to wypłacano nam strawne 20 kopiejek na dzień. Na stacjach i większych przystankach kolejowych można było kupić wszystko. Chleba, bułek, wędlin było pod dostatkiem, tylko tych 20 kopiejek było za mało i trzeba było zaciągać pasa.

Posuwając się w głąb Rosji dało się zauważyć wielkie różnice w stosunku do naszych miast i wsi. Wioski rosyjskie bez zieleni i zadrzewienia wyglądały jakby były świeżo pobudowane na czystym polu. Miasta również. Po obu stronach toru kolejowego za Wołgą w guberni Orenburskiej, jak okiem sięgnąć widać zżętą a nie zebraną pszenicę. A był to już koniec września. Opowiadali Rosjanie, że trafiają się zimy, że śnieg zasypie nie zebrane zboże na polu na którym leży całą zimę. Na wiosnę pod wpływem silnych promieni słonecznych śnieg szybko ginie i zboże zbierają z małym uszczerbkiem. Następnie przyjeżdżamy do Czelabińska na Uralu, miasta położonego na granicy Europa - Azja. Trasa kolejowa wykuta w skale Gór Uralskich. Krajobraz za Uralem nie różni się od krajobrazu przed Uralem - równinny i monotony. Rzadko położone wsie i miasta. Pierwsze większe miasta należące do Syberii to: Kurchan i Petropawłowsk. Do Petropawłowska przybyliśmy wcześniej rano. Pociąg stanął na stacji i nie przypuszczałem, że zaraz wyruszy w dalszą drogę. Będąc bardzo głodny zapytałem się napotkanego kolejarza czy nie można gdzieś kupić chleba. Odpowiedział, że owszem zaraz za stacją jest piekarnia i tam można chleb kupić. Mając 30 kopiejek, za które zapłaciłem 1 koronę (czyli dokonałem zamiany), czułem się pewnym, że z głodem skończę. Namówiłem kolegę Rusina, który się dobrze rozmówił po rosyjsku i poszliśmy za kupnem chleba. Kupiliśmy chleb i z radością wracamy na stację a Rosjanie mówią: "Wasz pojezd uże uszoł. Astalis" i śmieją się z nas. Co robić? Idziemy na komendę żandarmerii, która była na miejscu. Komendant, dość przystojny człowiek, pyta nas: gdzie byliście, że zostaliście? Poszliśmy chleba kupić. A kupiliście? Kupiliśmy. To dobrze, nie ważne, żeście zostali. Nadejdzie następny pociąg to was weźmie. Tymczasem idźcie do komendy miejskiej i wskazał nam, gdzie wspomniana komenda znajduje się. Po zameldowaniu się w komendzie powiedziano nam, że koło południa nadejdzie pociąg z jeńcami dla których w komendzie przygotowują obiad i do tego pociągu nas przyłączą. Następnie zawołano nas do kuchni. Dano nam noże i kazano obierać ziemniaki. Za chwilę nadszedł jakiś podoficer i widząc nas obierających skrzyczał kucharza, że najpierw trzeba dać jeść a potem robić. Około południa nadeżdża pociąg z jeńcami. Przeważnie Niemcy i coś Austriaków, sporo też było jeńców cywilnych, Mazurów z Prus Wschodnich. Między zbieraniną jeniecko-cywilną dał się wyróżnić pewien osobnik średniego wzrostu, dobrze zbudowany z przyszczyżoną ryżą brodą. Trzymał się na uboczu. A gdy zbliżyłem się do niego

zauważyłem , że nie miał spodni lecz same kalesony. Gdy go zapytałem w jaki sposób zgubił spodnie, odpowiedział, że o wszystkim opowie mi tylko żebym podczas jazdy obronił go jak inni będą mu dokuczać. Powiedział mi, że jest z Jarosławia, że jest żonaty i ma troje dzieci. Jako rezerwista został zmobilizowany i przydzielony do 77 kk austriackiej i że na froncie jego pułk został rozbity a podczas ucieczki został porzucony. Uratował on sztandar pułku, którego on biedny Zydek oderwał od drzewca i następnie okręcił go wokół brzucha. No a cóż wspólnego mają portki ze sztandarem, zapytałem go? Widzisz powiada gdyby ja był w porządku i ubrany porządnie to mógłby się ktoś zainteresować mną, a takim dziadem to nikt nie zainteresuje się. Mówię do Żyda, że gdy powróci po wojnie to za uratowanie sztandaru dostanie wysokie wynagrodzenie. Żyd mówi, że żadnych wynagrodzeń pieniężnych nie chce ale na jakiś konces lub szynk w dobrym mieście to się zgodzi. Obiad skończony, wszyscy do wagonów. Ja z Żydem umieściliśmy się w wagonie, gdzie byli sami jeńcy cywilni a tylko kilku wojskowych Polaków. Tak uspokojeni przybyliśmy do Omska (stolicy Syberii). W Omsku wysiedliśmy z pociągu i zaprowadzono nas do jakiś opuszczonych koszar w których było dużo jeńców różnych narodowości (Austriaków). Przenocowaliśmy i następnego dnia wsiedliśmy do wagonów i dalej na wschód, aż do miasta Nowonikołajewsk, położonego nad wielką rzeką Ob. W Nowonikołajewsku przemieszczono nas na statek i po dwóch dniach podróży przybyliśmy do miasta Barnaul, położonego u podnóża Gór Altajskich. Po przybyciu do Barnaulu umieszczono nas w różnych częściach miasta, tj. w opróżnionych koszarach i innych większych budowlach. Sporo nas umieszczono też w barakach pozostałych po jeńcach japońskich. Stosunek władz rosyjskich do jeńców był znośny. Zresztą dużo zależało od działań na froncie. Najgorzej było z zakwaterowaniem. Ciasnota, piętrowe prycze. Na górnych pryczach gorąco a na dolnych zimno. Zupełny brak pościeli i przykrycia. Brak bielizny sprzyjał powstawaniu różnych chorób: tyfus plamisty i brzuszny, zapalenie stawów, płuc i oskrzeli. Choroby te panowały nagminnie. Szpital miejski w Barnaulu zapełniony był przeważnie jeńcami. Ja leżałem w tym szpitalu około 3 miesiące na silne zapalenie stawów. Dyrektorem tego szpitala był Polak, dr Zalewski. Po kilkutygodniowym pobycie w szpitalu gorączka ustąpiła. Głowa przestała boleć. Siadłem sobie na łóżku, gdy ktoś nieznajomy otwiera drzwi zapytuje: czy tu jest Nowak? Jest - powiedziałem. Równocześnie poznałem go . Był to Piotr Tyburczy z Jeziorka. Był tak sponiewierany, że trudno go było poznać, tym bardziej że zjawił się niespodziewanie w dalekiej Syberii. I był jedynym moim przyjacielem aż do jego śmierci. Gdy wyzdrowiałem odesłano mnie do obozu. Było to gdzieś w lutym 1915 roku. W obozie zaczęto przeprowadzać segregację jeńców według specjalności. Któregoś dnia w miesiącu maja podzielono nas na grupy, a gdy już lody spłynęły na rzece, załadowano nas na statek, którym przybyliśmy do miasta Nowonikołajewsk. Następnie przesiedliśmy się na kolej i przyjechaliśmy z

powrotem do Omska. W Omsku całą grupę około 400 osób załadowano na barkę i rzeką Irtysz płynęliśmy w kierunku północnym aż do jakiejś przystani, w której zesliśmy z barek i pieszo pędzono nas w kierunku wschodnim /około 30 wiorst/. Wreszcie doszliśmy do dość dużej i dobrze zagospodarowanej wioski. Mieszkańcami tej wioski byli przeważnie Białorusini z guberni Mińskiej, Witebskiej, Smoleńskiej i innych. W tej miejscowości byliśmy około 2 tygodnie. Po dwóch dniach połowę naszej grupy w której i ja się znalazłem, odesłali z powrotem do tej przystani z której wcześniej przyszliśmy. I znów parostatkiem po rzece Irtysz dalej na północ, aż przybyliśmy do miasta Marińsk. Miasteczko było dość ładne. Piękny kościół katolicki, widocznie w mieście i okolicy musiało być dużo Polaków i Litwinów. W tym czasie w Marińsku odbywała się wielka koncentracja jeńców austriackich pochodzenia włoskiego, których przez Daleki Wschód odsyłano do Włoch. W Marińsku przebywaliśmy jeden miesiąc i znów na statek i tą samą rzeką Irtysz przybyliśmy do miasta Tara. Komendantem obozu Tara był kapitan Justernik pochodzenia polskiego. Człowiek dobry. Dbał o jeńców, zorganizował szpital. Lekarzami byli obok Rosjan, Polacy i Czesi. Próbował nawet mówić po polsku, choć bardzo kaleczył, za to piosenki polskie śpiewał poprawnie. Gdy umarł ktoś z jeńców wzywał ks. Polaka, który odprowadzał nieboszczyka na cmentarz i sam szedł na czele plutonu i po spuszczeniu zwłok wystrzeliwał salut z trzech naboń.

Na razie pracy nie było żadnej oprócz obozowej. Ja zacząłem pracować w piekarni. Praca ciężka i bezpłatna z której wkrótce wykręciłem się. W obozie znajdowało się około 500 jeńców, przeważnie Słowian: Czesi, Polacy i Rusini. Było też kilkunastu Rumunów. Współżycie z tą mieszaniną było raczej zgodne. Nikt się nie kłócił. Każda narodowość trzymała się swego kółka. A nieraz byliśmy pomieszani. Ja będąc na robotach polowych, przydzielony zostałem do grupy w której było 3 Rumunów, 2 Niemców, 4 Słowaków, 2 Węgrów, 3 Żydów, 2 Czechów i 1 Polak. Wkrótce po przybyciu do obozu Tara zaczęto organizować grupy robocze. Mnie przydzielono do zaopatrywania w paliwo parowców i barek pływających po rzece Irtysz. W związku z tym wysłano nas, około osób, do wielkich lasów położonych daleko na północ od miasta Tara, lasów zwanych tajgą. Płynęliśmy 2 dni. Było to we wrześniu 1915 r., gdy przybyliśmy do jakiegoś miasteczka na brzegu rzeki Irtysz, oddalonego na południowy wschód od gubernialnego miasta Tobolsk. Do miasta do którego w końcu 1917 czy na początku 1918 r. został zesłany wraz z całą rodziną car Mikołaj II. Połowę ludzi z naszej grupy, około 100 osób, zostawili na miejscu do budowy barek. Drugą połowę odesłali w głąb tajgi do wyrębu lasu na opał dla pływających parowców. Po 20 wiorstwowym marszu przybyliśmy do wioski, której nazwy już nie pamiętam. W tejże wiosce zakwaterowaliśmy się. W dniu następnym podzielono nas na grupy. Wydano siekiery i piły, i marsz do lasu. Oprócz wiktury płacono nam 35 kopiejek od jednego saga drewna. Śmieszna była to zapłata. Ale co było

robić? Najczęściej spotykanymi drzewami były: brzozy, sosny, modrzewie i jodły. Ziemia próchniczno-gliniasta sprzyjała wzrostowi drzew, których nikt nie sadił. W południowym pasie tajgi znajdują się ogromne równiny zarosnięte stepem nadające się do uprawy. Na tych terenach pozakładano wioski. Osadnikami w tych stronach w przeważającej części byli Białorusini. Dużo też było pochodzenia polskiego. Ziemi miał każdy osadnik tyle ile dał rady wykarczować lasu lub zarośli. Obierał sobie odpowiedni obszar, ścinał drzewa i gdy tak one poleżały jeden rok podpalał je. W następnym roku rozrzucano popiół, usuwano wszelkie przeszkody i siano żyto, owies, pszenicę, sadzono ziemniaki. Urodzaj był piękny. Osada, w której myśmy się zakwaterowali powstała przed 15 laty, inne wcześniej. Rząd carski nowo-osadników zwalniał od wszelkich danin i podatków aż do czasu dobrego zagospodarowania się, udzielając im znacznych kredytów na zakup inwentarza i innych najpotrzebniejszych narzędzi do gospodarki.

Wioska położona była na brzegu rzeczki wpadającej do rzeki Irtysz. Życie w osadzie na początku było dość trudne, ale jeśli osadnicy przybyli zdrowi i z dorosłymi dziećmi, to w krótkim czasie stawali się zamożnymi. Budulec był na miejscu, jaki kto chciał. W lesie znajdowali wiele jagód i malin. Dużo było zwierzyny leśnej: zajęcy, gronostajów, tylko niedźwiedzie często napadały na bydło, owce a nawet skradały się do zagród i robiły szkody. Opowiadali miejscowi chłopcy, że niedźwiedzie są tylko na lewostronnym brzegu Irtysza, a na prawym są tylko wilki. W wiosce był sklep, w którym można było zaopatrzyć się w najniezbędniejsze produkty. Był też i młyn wodny. W innej wiosce, oddalonej dwie i pół wiorsty był nowo wybudowany szpital, coś w rodzaju "ośrodka zdrowia".

W tejże wiosce była cerkiew, w której parochem czyli proboszczem był grecko katolicki ksiądz, pochodzący z Galicji, z okolic Rawy Ruskiej. Bardzo chętnie rozmawiał z Polakami. Z jego zachowania widać było, że jest niezadowolony z pobytu na Syberii. Co za los skierował go w taką dziurę, nie dowiedziałem się, gdyż wkrótce stamtąd odjechałem.

Praca w lesie odbywała się codziennie, z wyjątkiem świąt i niedziel. Każda grupa składająca się z dwóch osób winna była wykonać normę tj. sag drzewa łupanego, za który przy odbiorze płacono 35 kopiejek. Jedzenie było możliwe, jeśli nam go brakowało, to dokupowaliśmy za zarobione pieniądze. Gorzej było z wyspaniem się. Do tej pory spaliśmy po stodołach, a gdy zaczęły się chłody, przenieśliśmy się do mieszkań, w których znów nie można było usnąć z powodu wielkiej ilości pluskw i karaluchów. Wobec tego postanowiono wybudować własny barak, wyłącznie dla jeńców. Jednak do budowy baraku nie doszło z powodu epidemii hiszpanki, na którą zachorowali prawie wszyscy. Ja również zaziębiłem się i bardzo ciężko ją odchorowałem. Widząc, że bez pomocy lekarza nie obejdzie się, postanowiłem udać się do "ośrodka zdrowia", który jak już wspomniałem oddalony był około 3 wiorsty od naszej kwatery. Wybrałem się pieszo. Nogi bołą, silne dreszcze,

zawroty głowy. Wreszcie doszedłem. Pukam do drzwi cicho, pukam silniej i wreszcie wychodzi lekarz. Gdy mu powiedziałem w jakiej sprawie przyszedłem, wpuścił mnie do środka. Opukał mnie i osłuchał. I rzekł zaziębienie, i że zostawiłby mnie w szpitalu, ale nie ma żadnej osoby do pomocy i muszę iść z powrotem. Na koniec dał jakieś lekarstwo i powiedział, że ma nadzieję, że choroba ustąpi, i że za dwa dni odwiedzi mnie, a gdy nie zauważy poprawy, skieruje mnie do obozu, w którym jest szpital na dalsze leczenie. Idąc z powrotem byłem tak osłabiony, że z trudem powłóczyłem nogi. Na drodze cisza, ani żywego ducha. Ze wszystkich stron zimna tajga. Miałem ochotę usiąść i odpocząć. Pomyślałem jednak, że gdy usiądę to już nie wstanę i szedłem dalej. Obejrzałem się i zauważyłem z dala zbliżającą się furmankę na której siedziała kobieta. Czy to ze strachu czy z litości, widząc przed sobą tak zabiedzonego człowieka, dość że rzekła: "Ej młody czaławiek, sadijjties na telagu, ja was dowiezu". Wsiadłem z zadowoleniem. W czasie podróży kobieta opowiadała mi, że była w pobliskiej wiosce u krewnych z prośbą aby jej pomogli w pracy na gospodarce, bo męża jej wzięli na wojnę, a rodzice starzy i pracować nie mogą. Tak dojechaliśmy do wioski w której mieliśmy kwatery. Podziękowawszy kobiecie, dowlokłem się do mojej kwatery i wgramoliłem się na strych i upadłem ledwo żywy. Pod wieczór przyszedł do mnie Piotr Tyburczy i przyniósł mi coś do jedzenia ale nic nie zjadłem z powodu wysokiej gorączki. Leżałem na tym strychu bez żadnej pościeli i przykrycia dwa dni, popijając tylko wodę, którą mi Piotr przynosił. Na trzeci dzień przyjechał felczer i skierował mnie oraz Franciszka Koguta z Miłocina do szpitala, do miasta Tary, w który był nasz obóz. Tego samego dnia podjechała furmanka i odwieziono nas do przystani na rzece Irtysz, gdzie oczekiwaliśmy na jakiś statek. Po niedługim czasie przyplłynął holownik ciągnący dwie barki, na któreśmy wsiedli. Po 24 godzinach przybyliśmy do obozu. Poddany zostałem badaniu przez lekarza, jeńca Polaka, który stwierdził grypę, przechodzącą w zapalenie płuc i skierował mnie do szpitala. W szpitalu leżałem około trzech tygodni, z którego wyszedłem w dalszym ciągu bardzo osłabiony. W obozie przebywałem około miesiąc, powracając powoli do zdrowia. W początku grudnia 1915 roku zaczęły do obozu wpływać zapotrzebowania na jeńców do różnych robót, przeważnie do robót polowych. Wszyscy jeńcy jak tylko mogli wykręcali się od pracy. Najbardziej baliśmy się silnych mrozów, jakie wtedy panowały. Przed Świętami Bożego Narodzenia przybyło do obozu dużo chłopów po jeńców, ale nikt nie chciał się zgłosić. Przyczyną nie zgłaszania się było to, że oficerowie - jeńcy austriaccy, będący w obozie, chcąc upamiętnić święta zebrali między sobą około 300 rubli i chcieli je rozdać w wigilię pomiędzy jeńców szeregowych. "Ha-dziaje" byli jednak nieustępliwi. A było ich kilkudziesięciu. Jeden z nich, człowiek młody, dość przyzwoicie ubrany przyczepił się do mnie, tak że w żaden sposób nie mogłem się od niego odczepić. W pewnym momencie skorzystałem z jego nieuwagi i wmieszałem się w tłum, a on wziął sobie innego

jeńca. Ja wpadłem w ręce innego chłopca i pod przymusem konwojenta musiałem się zgodzić na wyjazd. Po załatwieniu wszelkich formalności jeszcze tego samego dnia wyjechaliśmy z obozu do pracy na wieś. Jechaliśmy dwoma saniami (5 osób) - czterech Rumunów i ja jeden - Polak. Jechaliśmy po zamarzniętym Irtyszu w kierunku południowym. Wreszcie przybyliśmy do wioski zwanej Smołkińska i tu zanocowaliśmy. Na następny dzień zostaliśmy przydzieleni do poszczególnych gospodarzy. Po mnie przyjechał "hadzaj" z niedalekiej wioski zwanej Nikityńska. Jechaliśmy na saniach zaprzęgniętych w jednego, dobrego konia. Do Nikityńska było około 5 wiorst. Jak okiem sięgnąć tylko błyszczący śnieg. Ja otulony w obszerne futro nie odczuwałem zimna, chociaż mróz był siarczysty. Jechaliśmy ile koń wyskoczy, tak że w niespełną pół godziny byliśmy na miejscu. Wioska niewielka, około czterdzieści gospodarstw. Zabudowania to przeważnie ziemianki lub plecionki chrustu na które narzucono grubą warstwę gliny. Budynki gospodarcze, szopy, obory, spichlerze zbudowane były podobnie. Trafiały się też zabudowania z drzewa. Długość wsi wynosiła około jednej wiorsty. Zabudowania ciągnęły się po obu stronach drogi. Mieszkańcy przeważnie pochodzenia małoruskiego. Byli też między nimi pochodzenia polskiego. Świadczyły o tym nazwiska: Hordyński, Świętorzyński, Osyczański, Zalewski, Ratusz-ny, Scipura i inne.

Przyjechaliśmy na miejsce. Ziemianka zasypiana była śniegiem, tylko dym unoszący się z komina wskazywał, że mieszkają tu ludzie. Wchodząc do izby zauważyłem ład i porządek. Ściany wybielone i pomalowane domowym sposobem. Podłoga pomalowana gliną, gospodyni i dzieci przyzwoicie ubrani. Pomyślałem sobie, że może da się tu wytrzymać. Gorzej było z robotą. Trzeba było oporządzić 15 sztuk bydła, 6 koni i 30 owiec. Wstawało się wcześniej rano o godz. 4-tej, wyrzucało obornik, zadawało paszę zwierzętom, odśnieżało. Studnia była niedaleko od zabudowań (około 50 m). Aby cały inwentarz napoić trzeba było wyciągnąć około 80 wiader wody. Poilo się raz na dzień. Jeżeli zabrakło siana trzeba było jechać po niego w step. Wieczorem znowu zadawanie paszy i tak codziennie w koło macieju. Jedzenia było pod dostatkiem, ale za to pracy ponad siły. Do tego mróz dokuczał, że trudno było wytrzymać. Tak zacząłem rok 1916 i w tych warunkach czekałem cierpliwie wiosny. Wreszcie nadchodzi wiosna, która na Syberii przychodzi nagle. Wielkie masy śniegu od silnych promieni słońca szybko giną. Ziemia szybko obsycha, tak że w przeciągu kilkunastu dni można przystąpić do siewu i innych prac wiosennych. A więc jedziemy z gospodarzem w pole orać. Dookoła jak wzrokiem sięgnąć pola uprawne, poprzeplatane stepem i dość dużymi kępami brzoźowych lasów. Uchwałą ogólnego zebrania wioski step podzielony jest na cztery różne części zależnie od potrzeb. Każdy z osadników, jak już wspomniałem, posiadał tyle ziemi ile był w stanie obrobić. Ziemi było pod dostatkiem. Każdy gospodarz wybierał sobie kawałek ziemi odpowiedni do uprawy, ale tylko w tej części stepu, która przez ogólne

zebranie przeznaczona była na uprawę. Pole, które wziął w użytkowanie, nikt nie mógł zabrać. Użytkował go przez cztery lata, a czasem i dłużej. Zależało to od tego jak długo ziemia rodziła. Gdy ziemia przestała rodzić zapuszczano ugór i przechodzono na inne części stepu, na których wcześniej pasło się bydło lub koszone trawę. Nawozów żadnych nie stosowano. Gleba była lekko próchniczna na podłożu lekkiej gliny, przepuszczalna i dość urodzajna.

Wiosna na Syberii przychodzi dość późno, około połowy maja. Z pobytu w tej wiosce nie byłem zadowolony. Wciąż myślałem w jaki sposób zmienić miejsce pobytu? Najważniejszą podstawą było to, że gospodarz był wyznawcą jakiejś sekty, która świętowała w sobotę a pracowała w niedzielę. Ja nie chciałem pracować w niedzielę tylko w sobotę. Z tego powstało niezadowolenie i spór, który przeniósł się do władz gminnych. Gospodarz skarżył się na mnie, że nie chcę pracować i że on z tego powodu ponosi straty, itp. Ja tłumaczyłem, że od roboty się nie wymiguję, a że w niedzielę nie chcę pracować, to wynika m.in. z zarządzeń państwowych. Naczelnik gminy do którego byłem odstawiony wysłuchał mego zeznania. Decyzję miał podjąć następnego dnia a mnie zaś kazał zamknąć w areszcie. Noc w areszcie była straszna. Z chwilą gdy zrobiło się ciemno, położyłem się na drewnianej koi próbując zasnąć. Było to jednak niemożliwe z powodu masy pluskw, które rzuciły się na mnie z wielką żarłocznością. Widocznie dawno nie miały takiego gościa. Jak mogłem tak opędzałem się i w tym opędzaniu doczekałem utęsknionego dnia. Rano przychodzi naczelnik z jakimś gospodarzem i mówi: "Pójdiesz do tego gospodarza, będziesz mu pomagał w pracy. Gospodarz dobry i będzie ci u niego dobrze". Popatrzyłem na gospodarza, starszy człowiek, ale jeszcze dość krzepki. Bojąc się, że następną noc spędzę znów w areszcie, odpowiedziałem: "Pójdę". Razem z gospodarzem przybyliśmy do jego domu. Dom stary, drewniany w dobrym stanie. Obok spichlerz, szopy na wozy, sanie i inne sprzęty. Szerokie zagony ogrodzone płotem., wyplatany chrustem i tymże przykryte - dla bydła, koni i owiec. Chroniły one w lecie zwierzęta od słońca, a w zimie od śniegu i wiatru. Gospodarstwo nie było małe, więc i roboty czekało mnie sporo. Koni do pracy było 8, bydła 20 sztuk w tym 12 krów dojnych, reszta młodziź; 10 koni stadniny tj. klaczy i młodziży, nad którymi czuwał jeden dobry ogier. Nie dopuszczał do oddalania się od stada i bronił przed wilkami. Zorientowawszy się ogólnie co do zakresu moich obowiązków, zapytuję gospodarza ile miesięcznie będzie mi płacił, bo o to najbardziej mi chodziło. Gospodarz rzekł: "10 rubli dam". Myślę sobie, że nie jest tak źle. Chociaż roboty dużo, to na czarną godzinę będzie można coś zaoszczędzić. Była to sobota, pierwsza połowa lipca 1916 r. Zaraz po obiedzie pojechałem z 10-letnim chłopcem w step kosić trawę dla koni, które były na gospodarstwie. Na drugi dzień, tj. w niedzielę rano, gdy jeszcze leżałem, przychodzi do mnie jeniec austriacki i opowiada mi, że cieszy się, że jeden Polak będzie we wsi i że w tej wsi jest kilkunastu

jeńców, że jest trzech Czechów, trzech Węgrów, trzech Niemców, czterech Słowaków, trzech Żydów i ja, jeden Polak. Ze wszystkimi żyłem w przyjaźni i zgodzie. W tę niedzielę po południu wybieramy się z gospodarzem i wszystkimi domownikami do zbioru siana. Zabraliśmy wszystkie potrzebne maszyny: kosiarki, grabiarkę i odpowiednią ilość koni, potrzebnych na zmianę do maszyn. Po przyjeździe na step obieramy odpowiednie miejsce, na którym jest piękna trawa, budujemy namiot, czyli jak Rosjanie nazywają "bałagan". Przygotowujemy ognisko i na tym miejscu będziemy aż do ukończenia sianokosów. Do wsi będziemy przyjeżdżać tylko w celu umycia się i zmiany bielizny oraz zaopatrzenia w żywność. W ten sam sposób postępują wszyscy pozostali gospodarze. Przy zbiorze siana każdy się spieszy, żeby jak najszybciej zakończyć prace. Wszystkie gospodarstwa oparte są na chowie bydła i dostarczaniu wielkiej ilości mleka do mleczarni jako głównej gałęzi dochodu. Praca przy sianie i jego zbiorze jest bardzo wyczerpująca. Długi dzień, wielkie upały, ogromne ilości komarów, ciągle oganianie się przed nimi wyczerpują siły człowieka. Wysuszone siano zostaje na miejscu koszenia, składane na niewielkich stogach (około dwie fury siana), które będzie się wozić dla inwentarza dopiero w zimie. Sprzęt siana w zachodniej Syberii kończy się pod koniec lipca. Wszyscy "hadziaje" rozjeżdżają się po chutorach. Ponieważ do żniw jest jeszcze około 2 tygodni, wykorzystują ten czas na przygotowanie roli do następnych wiosennych siewów. A robi się to tak. Obiera się odpowiedni obszar stepu lub ugoru, płytko się pokłada (podoruje) i gdy taka podorywka poleży 2 tygodnie, pod wpływem słońca i rosy kruszeje i przy użyciu bron łatwo rozsypuje się i rola gotowa jest do orki, która nastąpi po zbiorze zbóż. Żniwa zaczynają się końcem sierpnia. Każdy się spieszy aby jak najprędzej zebrać i zwieść do stogów. Stodół nie widziałem w tych miejscach, gdzie przebywałem. Po zwiezieniu zboża do stogów, jedni przystępują do młocki, inni do orki, przygotowując role do wiosennych siewów.

Wioska w której przebywałem założona została przed 150 laty przez osadników z centralnej Rosji, zesłanych tutaj za różne przestępstwa. Zabudowania ładne, budowane planowo obok głównej drogi, ulicy z jeszcze jedną ulicą poprzeczną, mniej więcej w połowie wsi. Wieś dość duża, około 180 gospodarstw. W wiosce był zarząd gminny (Wołost), do którego należało 14 różnej wielkości sąsiednich wiosek. Była cerkiew, szkoła w której uczono tylko w zimie i to tylko kto chciał. Był młyn (własność żydowska), były także 2 sklepy i poczta, która była dla nas jeńców wielkim dobrodziejstwem, bo można było wysłać list do rodziny lub otrzymać od nich wiadomości. Niedaleko głównego traktu Omsk - Tobolsk, stanowiącego niegdyś granicę pomiędzy Rosją a Hanatem Tatarskim były mogiły i kurhany. Pokazywano mi również na tym trakcie mogiły pomordowanych powstańców z 1863 roku, którzy jakoby nie chcąc dalej iść, rzucili się na konwojentów. Na skutek tego buntu we wszystkich pobliskich wioskach i osiedlach zarządzono alarm.

Każdy "hadzaj" siadał na koń, zabierał ze sobą dubinki (dębowe pały) i inne podręczne narzędzia, stawał na oznaczone miejsce do uśmiercenia "miałuzników". W tej walce zginęło kilku Polaków, których złożono do wspólnej mogiły. Reszta powstańców rozbiegła się po chutorach i osadach syberyjskich. Rząd carski wydał rozkaz wyłapywania powstańców i odstawiania ich do odpowiednich władz. Między ówczesną ludnością szerzyła się taka pogłoska: nie donosić i nie odstawiać zbiegów, tylko dać im jeść i niech sobie idą dalej, w przeciwnym razie mogą się mścić, paląc chałupy. Opowiadała mi o tym stara kobieta. Mogiłę pomordowanych widziałem na własne oczy, jadąc obok po ropę do młyna motorowego.

Sytuacja na wsi syberyjskiej według opowiadań niewiele się zmieniła od czasów przedwojennych, a w niektórych przypadkach poprawiła się. Ogromne zapasy *zboża*, bydła i wszelkich płodów rolniczych znalazły nabywców, szczególnie dla zaopatrzenia armii. Żywności na wsi syberyjskiej było pod dostatkiem, gdy w tym samym czasie w Rosji europejskiej dały się odczuć jej braki.

Rok 1916. Żniwa skończone. Zaczyna się młócenie zboża. Przy młocce sąsiad sąsiadowi pomagał i nieraz młocka ciągnęła się dwa tygodnie i dłużej. Czas pracy zależna była od szybkości młócej maszyny. Najgorzej było z tym, że omłócone zboże w dzień, w nocy odstawiało się do spichlerza położonego we wsi oddalonej o około 12 wiorst. I tak codziennie, raz gorzej, raz lepiej. Tak ciągnęło się do późnej jesieni. Śnieg zaczyna padać. W polu nie ma już roboty. Ze wszystkich chutorów cały inwentarz żywy pędzą do wsi, do stałych zabudowań, gdzie będzie przebywać aż do wiosny. Na chutor będą przyjeżdżać przez całą zimę po słomę, siano, plewy i drzewo na opał.

Po przybyciu z chutoru do wsi otrzymałem kartkę od żony. Pisze mi, że jest zdrowa, matka też i że z najbliższej rodziny nikt nie zmarł. Na tym koniec, bo więcej pisać nie było można. Żyję w tęsknocie za najbliższymi, a tu już nadszedł trzeci rok wojny, której końca w dalszym ciągu nie widać. Armia rosyjska wycofała się z Polski i Litwy. Gazety rosyjskie udowadniają, że walka będzie prowadzona aż do ostatecznego zwycięstwa, a cofanie się armii ma na celu zajęcie odpowiednich pozycji z których nieprzyjacielowi będzie zadany śmiertelny cios. Jednak do tego nie doszło. Armia carska będąc stale w odwrocie nie mogła wykonać zamierzonego ciosu. Mogła natomiast wstrzymać dalszą ofensywę państw centralnych, co wpłynęłoby na wzmocnienie frontu zachodniego, a tym samym wcześniejszego zakończenia wojny i pomyślniejszego zawarcia pokoju. Rewolucja rosyjska jednak pokrzyżowała cały plan państw Ententy.

Dnia 25 lutego 1917 r. manifestacja robotników Rady Piotrogradzkiej przeobraziła się w powstanie. Zaczęto rozbrajać policję i żandarmerię. Tworzono własne oddziały zbrojne. W ostatnich dniach lutego powstał Rząd Tymczasowy na czele z księciem Lwowem. Do rządu tego weszli m.in.: Miliokow, Grieczkow i Kiereński. Dnia 17 marca pod naciskiem korpusu oficerskiego zrzekł się tronu car Mikołaj II na rzecz swego brata księcia

Michała. Tenże zrzekł się z przyznanych mu praw do tronu rosyjskiego i tak skończyły się czasy panowania dynastii Romanowych. W końcu lutego 1917 r., gdy objął władzę Tymczasowy Rząd Kiereńskiego wydano odezwę do całego narodu rosyjskiego i całej armii, że walka z państwami centralnymi przy boku Ententy prowadzona będzie bez zmian, aż do pełnego zwycięstwa. Niemcy i Austria oraz kraje należące do nich, strasznie wykrwawione i wymęczone, szukały sposobu zakończenia wojny. Najlepszą okazją do zakończenia wojny i początku rewolucji były zarządzenia Rządu Tymczasowego (Kiereńskiego), który wydał dekret o wolności słowa, prasy, zebrań, itp. Dało to agentom niemiecko-austriackim możliwość, znalezienia w Rosji takich ludzi, którzy by przy pomocy państw centralnych mogli uformować taki rząd z którym by mogli zawrzeć oddzielny pokój, a wszystkie wojska przerzucić na front zachodni, pobić wojska Ententy i zmusić do kapitulacji. Państwa centralne wiedziały dobrze, że do takich ludzi należał Lenin, który wówczas znajdował się w Szwajcarii wraz ze swymi współpracownikami. Był on zaciętym wrogiem cara i Tymczasowego Rządu Kiereńskiego. Niemcy już poprzednio prowadzili rozmowy z władzami Rosji, gdyż Lenin właśnie w tym celu przebywał w Szwajcarii. Należało jednak poczekać aż sprawa rewolucji w Rosji dojrzeje.

W początku marca 1918 r. przenieśliśmy się do miejscowości Rezi, w której było kilku Polaków, pracujących u zamożnego Polaka, niejakiego Hojnowskiego, wnuka powstańca z 1863 r. Często schodząc się na wspólne rozmowy, zastanawialiśmy się jakie stanowisko po abdykacji cara zajmie rząd Kiereńskiego odnośnie jeńców Polaków i Polski. Bardzo pocieszającym dla nas był fakt, że Rząd Tymczasowy będzie dążyć do tego aby po skończonej wojnie powstała wolna i niepodległa Polska ze wszystkimi ziemiami do niej należącymi. W tym też celu wydano rozkaz do całej armii o wyłączeniu wszystkich Polaków z armii rosyjskiej i sformowaniu oddzielnej armii pod dowództwem polskim. Miały powstać 3 korpusy: jeden na Białorusi Dowbor-Muśnickiego, drugi na Ukrainie Osińskiego i trzeci Zieleniewskiego.

Napływ do formacji polskich był bardzo duży. W armii rosyjskiej miało służyć około 2 miliony żołnierzy i oficerów i około 100 generałów - Polaków. Były też pogłoski, że do formujących się oddziałów będą przyjmowani Polacy, jeńcy z armii austriackiej i niemieckiej. Wśród różnych planów i koncepcji ustrojowych na pierwszy plan wysunął się ustrój bolszewicki pod wodzą Lenina, przybyłego ze Szwajcarii, który ogłosił dekret o wolności, równości i samodzielności wszystkich narodów i jak najszybsze zakończenie wojny. W tym celu Lenin przedłożył państwom centralnym propozycję zawarcia oddzielnego pokoju. Państwa centralne wraz ze swymi sprzymierzeńcami (Niemcy i Austria) z radością przyjęły propozycję Lenina i natychmiast przysłały swoich delegatów do Brześcia n/Bugiem, wybranego przez Lenina jako miejsce układów pokojowych. Rozmowy trwały krótko i początkiem marca 1918 r. zostały zakończone.

Sprawa polska została potraktowana po macoszemu. Np. Lenin żądał przyłączenia do Ukrainy Ziemi Białostockiej, Lubelskiej i Lwowskiej. Zgodził się również na pomoc Niemcom przy rozbijaniu wojsk polskich, uformowanych za czasów Kiereńskiego. Jak wyżej wspomniałem były to trzy korpusy: Dowbor-Muśnickiego, Osińskiego i Zieleniewskiego. Ten sam los spotkał Brygadę Karpacką, która w 3-dniowej bitwie została rozbita i rozproszona na szerokich obszarach Rosji, oczekując na odpowiednią porę, gdy będzie mogła stanąć do walki o niepodległość Polski.

Największą przeszkodą do wykonania zobowiązań pokojowych przez bolszewików była niemożliwość rozbrojenia pułków czeskich, składających się z jeńców - Czechów, którzy masowo przechodzili na stronę rosyjską do walki z Niemcami. Np. 38 pułk austriackiej obrony krajowej, składający się wyłącznie z Czechów, przeszedł w całości na stronę rosyjską. Na skutek twardej postawy Czechów, żądających przetransportowania swych wojsk na Daleki Wschód, na które to wojska oczekiwała francuska flota wojenna, mająca Czechów przewieźć do Francji i tam walczyć przeciwko Niemcom. Bolszewicy chcąc dotrzymać umowy, nie mając odpowiedniej siły do rozbrojenia Czechów, wszelkimi sposobami starali się utrudniać ewakuację tych wojsk.

Jednak Czesi stali twardo w swoich żądaniach. Wobec tego bolszewicy zgodzili się na przepuszczenie wojsk czeskich. Ewakuacja zaczęła się z końcem marca 1918 r. Bolszewicy mieli ukryty plan. Gdy Czesi się rozciągną, na dłuższą przestrzeń, będą łatwiejsi. I tak się też stało. Gdy pierwsze były już na Syberii, to ostatnie były jeszcze w Rosji, czyli to rozciągnięcie wynosiło półtora tysiąca kilometrów. Wtenczas bolszewicy dali rozkaz Czechom aby wstrzymali dalszą ewakuację i złożyli broń. Czesi nie mając innego wyjścia odmówili oddania broni, uderzyli na bolszewików i rozbili ich załogi znajdujące się na głównej linii od Samary aż do Irkucka nad Bajkałem. Załogi bolszewickie znajdujące się w tych miastach poddawały się lub uciekały, omijając większe miasta i osiedla. Na terenach zajętych przez Czechów został utworzony Rząd Tymczasowy. Stolicą tego rządu zostało miasto Omsk na Syberii. Na oswobodzonych terenach Rząd Tymczasowy postanowił zorganizować armię, której celem miało być ostateczne przepędzenie bolszewików i zorganizowanie rządu demokratycznego powstałego z wolnych wyborów. W tym celu Rząd Tymczasowy wydał odezwę do wszystkich obywateli na oswobodzonych terenach, aby zgłaszali się do armii i do współpracy z rządem. Odezwa Rządu Tymczasowego odniosła wielkie zwycięstwo. Zgłaszali się oficerowie, inteligencja, chłopcy, robotnicy. Wojska zajęły takie miasta jak: Nowomikołajewsk, Omsk, Tomsk, Petropawłowsk, Kurchan, Czelabińsk, posuwając się szybko w głąb Rosji europejskiej. Przy pomocy armii czeskiej organizowały się pułki wojsk polskich, składające się z byłych rot zapasowych Dobowczyków, Żelaznej Brygady Karpackiej, z jeńców austriackich i niemieckich i wielu innych, którym nie udało się przedostać do kraju, a nie chcących się oddać bolszewikom. Celem tych organizacji

była walka przeciw układom pokojowym w Brześciu nad Bugiem, między Niemcami a bolszewikami. Pierwsze miesiące Rządu Tymczasowego były pomyślne. Wojska czeskie i polskie razem z rosyjskimi białogwardzistami robiły wielkie postępy, posuwając się szybko na wszystkie strony. Wkrótce zajęły najważniejszą część Syberii. Przekroczyły Ural i zajęły takie miasta jak: Czelabińsk, Perm, Samara. Sforsowały Wołgę i podeszły pod Kazań, główne wrota na Moskwę. Zdawało się, że władza sowiecka upadnie. Lenin wydał odezwę do wszystkich narodów Rosji celem obrony ustroju bolszewickiego i obrony układów pokojowych zawartych między Niemcami a Rosją bolszewicką w Brześciu n/Bugiem. Tym którzy zgodzili się na przystąpienie do Czerwonej Armii obiecywano wszystko: dwory, fabryki, wysokie stanowiska komisarskie. Te wszystkie pochlebstwa i obietniki dały możliwość zorganizowania dość sporej armii, zwanej "Czerwoną Armią". W skład tej armii wchodziły też bataliony ochotnicze, składające się w poważnej części z jeńców wojennych: Niemców, Węgrów, Serbów, Chińczyków i wielu innych. Żydów więcej przyjmowano do administracji i propagandy. Z Polaków organizowano oddzielne oddziały. Jak mi opowiadali naoczni świadkowie, że po rozsypanie polskich korpusów na Białorusi i Ukrainie z błąkających się oficerów i szeregowych Polaków uformowano kilka pułków. Przykładowo w Mińsku został zorganizowany 1 Pułk Ułanów Mazowieckich, który niebawem został wysłany na front uralski przeciw Czechom i Polakom. Przeszedł on w całości na stronę białych i był później wcielony do 5 Dywizji Syberyjskiej Waleriana Czumy. Od tego czasu bolszewicy przestali organizować oddzielne pułki polskie.

W tym czasie na terenach zajętych przez Czechów i administrowanych przez Rząd Tymczasowy ściągano wszystkich Polaków - jeńców do najbliższych gmin i powiatów. Zgrupowawszy ich odsyłano do Omska. W ten sposób i ja tam dostałem się. W Omsku wielka była koncentracja Polaków. Masy jeńców austriackich i innych rozbitków z różnych formacji polskich z czasów Kiereńskiego czekały tylko aby wyrwać się w jakiś sposób z "raju bolszewickiego", ale jak? W Rosji i za Uralem trwała wojna. Front. Walczą Czesi, Polacy i białogwardyjskie wojska Rządu Tymczasowego. Nas również zgrupowano po to, aby uzupełnić straty na froncie i wzmocnić pułki polskie będące w stadium organizacji, zwane 5 Dywizją Syberyjską. Gdy nazbierało się nas parę setek, odprawiono nas do Nowonikołajewska do sztabu dywizji. Podróż trwała dwa dni. Wagony niby to "ciepłuszki", a omal nie pozamarza liśmy. Piecyki kiepskie, nie grzały, dymiły tak, że w wielkich męczarniach przybyliśmy na miejsce. Było to w ostatnich dniach listopada lub początkiem grudnia 1918 r. Na stację kolejową w Nowonikołajewsku wyszło po nas dużo żołnierzy i oficerów z zorganizowanych już pułków, jak: 2 i 3 pułk strzelców. Pierwszy pułk i wiele innych oddziałów było jeszcze na froncie bolszewickim za Uralem.

Między witającymi nas miał być podobno pułkownik Walerian Czuma,

dowódca wszystkich oddziałów polskich we wschodniej Rosji. Nas przydzielono do Baonu Szkolnego, którego dowódcą był kapitan Jaworski. Na drugi dzień po przeglądzie lekarskim podzielono nas na plutony i kompanie. Następnie zaczęły się zajęcia od przekładu komendy niemieckiej na język polski. Po kilkunastu dniach z Baonu Szkolnego uformowano 4 pułk strzelców, nad którym dowództwo objął pułkownik Bołdok z armii rosyjskiej. Po kilkudniowych ćwiczeniach postanowiono uformować baon karabinów maszynowych, a dowódcą jego miał zostać kapitan Zatorski. Zezwolono mu na dobór żołnierzy po wszystkich kompaniach czterech pułków. W pierwszym rzędzie wybierał tych, którzy już byli zaznajomieni z bronią maszynową - a z braku takich, dobierał sobie według swoich kryteriów. Takim to sposobem dostałem się dostałem się i ja do baonu karabinów maszynowych. Służba w tym baonie odbywała się systemem angielskim (Kolt) z rozbierania, składania, naturalnie strzelania i była dość ciekawa. Tak to trwało do miesiąca kwietnia 1919 r. Walka z bolszewikami trwa. Rząd Tymczasowy upadł. Nad cały wojskiem objął władzę dyktator admirał Aleksander Kołczak. W samym rządzie syberyjskim elementy reakcyjno-czarnociemne wzięły górę nad wolnościowo-rewolucyjnymi. Wobec jawnej już niechęci zarówno żołnierza czeskiego, jak i polskiego do walczenia na froncie o restaurację carskich porządków w Rosji, przybyły na Syberię jako organizator wojsk koalicyjnych francuski generał Żaneu, przeznaczył je do ochrony kolei syberyjskiej przeciwko mnożącym się powstaniom. Dywizja polska otrzymała zachodni odcinek kolei na tyłach armii kołczakowskiej wraz z odnogami Tatarskaja, Sławgorod i Nowonikołajewsk, Siemipolatyńsk. Czesi wycofując się z frontu objęli linię kolei transyberyjskiej wraz z bocznymi dojazdami od Nowonikołajewska aż po Irkuck nad Bajkałem.

Powrócę do spraw pracy w garnizonie, która pomimo wszystkiego szła naprzód. Zorganizowane zostały 1, 2, 3 pułk strzelców, 1 pułk kawalerii, 1 pułk artylerii, batalion kadrowy, batalion szturmowy, szkoła oficerska, oddziały żandarmerii. W sumie miało to stanowić około 14 tyś. Ludzi. Wszyscy czekali na te chwile, kiedy będzie można opuścić tę zdziczałą Syberię. Gazetka "Żołnierz Polski" z której czerpaliśmy najwięcej wiadomości pocieszała nas, że staraniem Polskiego Komitetu Narodowego w Paryżu zacznie się ewakuacja wojsk przez Daleki Wschód. Żadnego jednak ruchu w tym kierunku nie było, przynajmniej w naszej dywizji. Ale gdy zaszedłem na stację kolejową zauważyłem niezwykle ruch. Dużo pociągów osobowych wypełnionych cywilami i różnym bagażem podążało w kierunku wschodnim. Dowodziło to, że wojska Kołczaka cofają się, tylko my Polacy jako jedyni pozostajemy na tyłach wojsk czeskich, bo Polska prowadzi wojnę z bolszewikami a bić wroga z tyłu czy z przodu to wszystko jedno - tak nam mawiali Czesi. Któregoś dnia czerwca 1919 r. przyszedł rozkaz do naszego baonu, aby wydelegowano ośmiu ludzi do konwojowania pociągu żywnościowego, odjeżdżającego do Irkucka, dokąd miały nadchodzić następne pociągi z intendenturą

i wojskiem. W Irkucku mieliśmy przegrupowani i dalej na Daleki Wschód, gdzie miały na nas czekać okręty francuskie i angielskie. Takie były plany, które z wiadomych przyczyn nie spełniły się. Do konwoju pociągu wyznaczono również i mnie. Jechaliśmy kilka dni. Wreszcie przybyliśmy do Irkucka, oddaliśmy cały transport magazynierowi, którym był jakiś polski oficer. Po załatwieniu wszelkich formalności siadamy na pierwszy lepszy pociąg osobowy i powracamy do Nowonikołajewska. Podróż trudna, straszny ścisk, dalsza jazda pociągiem osobowym niemożliwa. Przesiadamy się na pociąg towarowy i z trudem dopchaliśmy się do swoich oddziałów. Na miejscu dał się zauważyć wielki ruch, np. gromadzono wagony, przygotowywano w wagonach prycze, ustawiano kuchnie polowe, robiono wiele innych zabiegów mających służyć ewakuacji. Na froncie bolszewicko-kołczakowskim walki trwają. Bolszewicy w niektórych rejonach przekroczyli Ural i zajęli wiele miast takich jak: Tiumeń, Czelabińsk, Petropawłowsk. Na Syberii trwają walki z partyzantami i wojskami bolszewickimi, które przedzierały się na tyły wojsk kołczakowskich, napadały na wojska polskie stacjonujące na linii Sławgorod, jednak zostały odparte ponosząc straty. W krótkim czasie zameldowano, że w okręgu kmolińskim pojawiły się wielkie grupy wojsk bolszewickich, przeciw którym natychmiast wysłano kilka kompanii 1 pułku strzelców wraz z trzema szwadronami ułanów. Wojska polskie rozproszyły bolszewików, zadając im poważne straty. Nieco później doniesiono, że jakiś silny oddział wraz z partyzantami pozajmował tereny między Sławgorodem a Nimusińskiem, przeciw którym wysłano 8 kompanię 3 pułku pod dowództwem kapitana Surowatki. Na oznaczone przez polski wywiad miejsce przywieziono nas na "telagach muzycznych". Jedziemy więc. Przejechaliśmy jedną wioskę, drugą wjechaliśmy w jakiś step porośnięty brzezina. Nic, cisza. Jedziemy dalej. Gdy przejechaliśmy jakąś wioskę z tyłu za nami odezwały się strzały. Przyspieszywszy jazdę wjechaliśmy na niewielkie wzgórze za wsią, na którym stał wiatrak. Nasz dowódca zorientowawszy się, że jesteśmy w okrążeniu dał rozkaz: "Wszyscy z wozu! Padnij!". Dał również rozkaz kopania kolistego rowu. Tę robotę wykonaliśmy na leżąc, pod silnym ogniem bolszewickim. Bolszewicy strzelając do nas nie mieli dobrego celu, bo byliśmy ukryci w wielkiej trawie stepowej. Nim jeszcze zmierzch nastąpił bolszewicy przypuścili do nas silny ogień z broni ręcznej i maszynowej, na który nie odpowiadaliśmy, zgodnie z rozkazem naszego dowódcy kapitana Surowatki. Po kilku minutach ostrej strzelaniny zupełna cisza. Po jakiejś godzinie czasu znów ostra strzelanina i to ze wszystkich stron. Mamy rannych. Wybito wszystkie konie, które służyły za podwozy. Po północy zorientowaliśmy się, że atakowani jesteśmy przez przeważające siły wroga. W dalszym ciągu wyczekiwaliśmy na rozkaz naszego dowódcy. Gdy bolszewicy zbliżyli się na jakieś 100 metrów z okrzykiem uuura!, dowódca dał rozkaz wyrzucić pierwsze ręczne granaty (każdy żołnierz posiadał ich cztery). Po rzuceniu granatów poszła w ruch broń ręczna i maszynowa. Ale to trwało krótko,

nastąpiła cisza. Polacy spodziewając się, że bolszewicy powtórzą szturm, przygotowują się do obrony. Opatrują rannych, poprawiają okopy, gromadzą amunicję w dogodnych miejscach i oczekują dalszych ataków. Około godz. 1-ej po północy nastąpił szturm, tym razem ostatni. Bolszewicy dostali jeszcze solidniejszą lekcję. Gdy nastąpił dzień obrony zauważyli w oddali od okopów dużo zabitych bolszewików. Rannych nie było, widocznie zabrali ich ze sobą. Tak zakończyła się bitwa 8 kompanii 3 pułku w dniu 10 września 1919 r. Od tego czasu na tym odcinku uspokoiło się. Natomiast na linii Barnauk - Siemopłatyńsk doniesiono o silnym zgrupowaniu bolszewicko-partyzanckim. Przeciwno tym ugrupowaniom wysłano dwie kompanie naszego batalionu, jedną baterię artylerii i szwadron ułanów. Całe wojsko załadowano do wagonów i odesłano w kierunku na Barnauk. Jadąc przyszło mi na myśl, że przed czterema laty jako jeńiec płynąłem na parostatku w tym samym kierunku, gdyż linia kolejowa nie była jeszcze ukończona. Dzisiaj jadę jako żołnierz. Co będzie dalej? Czy Polska, która powstaje na nowo będzie miała pożytek z naszego wysiłku? Na to pytanie wtedy nikt nie umiał odpowiedzieć. Byliśmy wojskiem i winniśmy wykonywać rozkazy wydane przez nasze dowództwo. Inaczej być nie może. Tak dyskutując na różne tematy przybyliśmy do miasta i tu wyładowaliśmy się z wagonów by wymaszerować w kierunku południowo-wschodnim, wzdłuż siemopłatyńskiej linii kolejowej. Maszerowaliśmy w kolumnie, z przodu kawaleria, za nią piechota na mużyckich saniach, na końcu artyleria.

Przyjechawszy do wielkiej wsi zanocowaliśmy w niej. Na drugi dzień zwiadowcy polscy donieśli, że oddziały bolszewicko-partyzanckie odeszły w kierunku Siemopłatyńska. A niech sobie idą do diabła. Nasz dowódca zarządził odwrót w poprzednim porządku. Przybywszy do pociągu w miejscu, w którym go opuściliśmy, ogarnęło nas zdziwienie. Wagony zimne, nie opalone, przyce zniszczone. Przyczyną zdemolowania pociągu było to, że przy opuszczeniu pociągu przez nasze oddziały, opiekę nad nim pozostawiono oddziałom litewskim. Litwini zbuntowali się, aresztowali swoich oficerów, zatarasowali drogę przez rozebranie szyn i wykolejenie lokomotywy. Sami zaś zbiegli do bolszewików. Z tej przyczyny musieliśmy pozostać w wagonach, pełniąc służbę w ostrym pogotowiu. Po naprawieniu torów, co zeszło około dwóch dni, powróciliśmy do Nowonikołajewska.

Po przybyciu do Nowonikołajewska zajęliśmy miejsca w wagonach dla nas przygotowanych, ciasnych i niewygodnych. Niektóre oddziały już odjechały, bardzo wolno posuwając się w miarę usuwania się Czechów. Najpierw z miasta odesłano rannych i inwalidów, za nimi różne formacje wojsk. Brak opału, wody, utrudniał nasze posuwanie się. Braki węgla uzupełnialiśmy drzewem, a brak wody - śniegiem. Rozciągnięcie dywizji na setki kilometrów utrudniało porozumiewanie się. Pracując bez wytchnienia dniem i nocą z dużymi trudnościami dotarliśmy do Krasnojarska i zajęliśmy wszystkie placówki po odjeżdżających Czechach. Tu też dowiedzieliśmy się, że nasze

oddziały, pozostające w awangardzie natrafiają na silne ugrupowania bolszewickie i prowadzą z nimi ciężkie walki. Np. na linii kolejowej Tajga -Tomsk bolszewicy zajęli stację jeszcze przed przybyciem naszych wojsk i o którą to stację wojska polskie stoczyły dwudniową bitwę, wymykając się z okrążenia. Dalsze posuwanie się było coraz trudniejsze. Brak opału, wody, ostre pogotowie z karabinem w rękę w dzień i noc, doprowadziło do ogólnego wyczerpania. Widząc te ogromne trudności, generał francuski Janin, który był dowódcą wszystkich wojsk, ogłosił neutralność, że niby to z armią bolszewicką nie chcemy mieć żadnych zatargów. Nam zależy na tym, aby jak najszybciej opuścić Syberię i przez Daleki Wschód powrócić do Polski.

Bolszewicy korzystając z tego zarządzenia o neutralności przysłali swoich delegatów na stację Klukwiennaja w celu zawarcia umowy kapitulacyjnej. Delegacja armii bolszewickiej zgadzała się na wszystko. Rząd sowiecki będzie starał się odesłać wszystkich jeńców do swoich krajów, a Polaków w szczególności. Obiecanki te trwały tak długo, dopóki nie uporano się z armią Kołczaka, którą rozbito pod Krasnojarskiem. Po kapitulacji większa część naszej dywizji została w Krasnojarsku i w okolicach gubernii Jenisiejskiej. Część uciekła, rozpierchając się we wszystkie strony. Tym, którym udało się przedrzeć do Irkucka, odsyłano do Władywostoku, a stamtąd okrętami francuskimi przez Ocean Indyjski do Adenu i przez Kanał Sueski do Francji i Polski. Było nas kilkaset osób, około 2 bataliony z całej dywizji. Koncentracja nasza odbyła się w Warszawie w 1920 r. w czasie, gdy bolszewicy szli na stolicę i gdzie w kontrataku brał udział nasz pułk uformowany z żołnierzy 5 dywizji (opowiadał mi o tym mieszkaniec Nartu, spotkany w młynie na Wilkach, który był uczestnikiem tej niezmiernie długiej podróży, jako żołnierz 5 dywizji).

Jak już wspomniałem, tym którym po kapitulacji nie udało się zbiec lub ukryć się, zostali umieszczeni w obozach i łagrach. Inni jeszcze zostali w zwykłych wagonach, marzli niemiłosiernie, cierpiąc-głód. Jedynym pożywieniem mięsnym była konina z pozabijanych koni w walkach bolszewicko-kołczakowskich, zakończonych w rejonie Krasnojarska. To było w grudniu 1919 r. Z reszty jeńców 5 dywizji uformowano Brygadę Inżynieryjną, którą podzielono na różne pododdziały: kolejowe, budowlane, żeglugowne i wiele innych. Dużo też osób - komunistów zostało umieszczonych pod ścisłym dozorem. Cierpieli strasznie. Głód, ciasnota, wszawica były powodem wybuchu epidemii tyfusu, przeniesionej z łagra, w którym zamknięci byli rozbitkowie armii Kołczaka. Razem z uciekinierami zginęło około 40 tys. Ludzi. Nasz oddział budowlany umieszczono w wagonach i wywieziono w lasy za Krasnojarskiem. Pozostawiono nas na bocznym torze, podzielono na grupy, dano narzędzia. Budowaliśmy baraki na wielki obóz, który tu miał powstać.

Karmiono nas marnie, w dalszym ciągu słonina i to w niewielkich ilościach. Chleba wydawano około 60 dkg na osobę a czasem mniej, do tego parę dkg palonego jęczmienia na kawę. Jeść się chce coraz bardziej, ludzie

chorują. Karmią tylko propagandą, że wkrótce zwyciężą i wtedy będzie prawdziwy raj. We wszystkich oddziałach kładą nacisk na zakładanie kółek komunistycznych. "Jaczejek", do których przysyłają masy bibuły komunistycznej. Do "Jaczejki" nikt nie chce się wpisać, chyba że delikwenta zmuszą, a i tak albo po jakimś czasie wycofuje swoją przynależność i ucieka z obozu. W naszym oddziale przymusowo zorganizowano "Jaczejkę", której sekretarzem wyznaczono Bolesława Piechowskiego z zawodu inżyniera, wnuka powstańca z 1863 r. Piechowski był tak przygnębiony nominacją na sekretarza, zdawało się, że zwariuje. Wreszcie oświadczył przed kilkoma kolegami, że nie będzie dłużej męczył się i myśli o ucieczce. Jak powiedział, tak i zrobił. A ponieważ z urodzenia Sybirak i mając rodzinę w Tomsku nie było mu trudno ukryć się. Po jego zniknięciu, w naszym oddziale wielki ruch. Nasłano czekistów, którzy nic nie robili, tylko węszyli, podsłuchiwali. Dużo osób aresztowali i wywieźli nie wiadomo dokąd. Sprawa ucieczki Piechowskiego może by i przycichła, gdyby nie sam Piechowski, który przyjechawszy do Tomsku, napisał list do naszej grupy wymieniając w nim moje nazwisko. Piechowski nie spodziewał się, że w "Bolszewii" tajemnica korespondencji nie istnieje. Po dwóch tygodniach od jego zniknięcia, wezwał mnie do siebie Niejaki Jan Wierzan - żołnierz 5 dywizji. Później okazało się, że był agentem Czerezwyczajki Krasnojarskiej i z jego przyczyny dużo Polaków zostało aresztowanych i poniosło śmierć. Pokazując mi list od Piechowskiego, adresowany na moje nazwisko, kazał mi go przeczytać. Najważniejsze słowa w tym liście: "Przyjechałem do Tomsku. Podróż miałem niebezpieczną. W pociągi i na wszystkich stacjach pełno czekistów przybyłych z Rosji. Nie radzę Wam ruszać z obozu, końca czekajcie na miejscu. Patrząc codziennie na pociągi z wojskiem i uzbrojeniem, zdążające na zachód na front polski, nie jestem obojętny na to i zorganizowałem sporą grupę celem, której jest utrudnianie przejazdu im". Po przeczytaniu tego listu, którego nie przyjąłem, idąc do wagonu, w którym mieliśmy kwatery przez całą drogę myślę: co będzie dalej? Byłem pewny, że zostanę aresztowany i że Wierzan nie przyjdzie po mnie sam, ale wyśle kogoś innego. Co tu robić? Uciekać nie ma gdzie. Gdy złapią, nie będzie żadnych wykrętów. Tak rozmyślając położywszy się, zasnąć nie mogłem. Byłem pewny, że tej nocy mnie zabiorą. Tak też się stało. Około północy biją kolbami we drzwi naszego wagonu. Ktoś otwiera, wołają: "Adam Nowak jest takoj! Wychodzi z wieszczami (rzeczami)!". Nie ma innej rady, trzeba iść. Ubrałem się szybko i wychodząc widzę dwóch uzbrojonych konwojentów. Pytam się ich, gdzie mnie mają odprowadzić? Odpowiedzieli, że na stację kolejową. Popatrzyłem się na nich, obaj tęgie chłopy. Jeśli będą chcieli mnie poprowadzić na miejsce skąd nikt nie powraca, będę próbował uciekać. Moi opiekunowie może zauważyli to, zaczęli ze mną rozmawiać, częstując mnie machorką. Powiedzieli mi, że na stacji kolejowej będziemy czekali na pociąg odjeżdżający do Krasnojarska i oddadzą mnie do dyspozycji komendanta brygady.

Robi się dzień. Nadchodzi pociąg, wsiadamy. Na miejscu, w Krasnojarsku prowadzą mnie do komendy brygady i oddają mnie i dokumenty komendantowi. Komendant brygady, były serbski jeńiec, człowiek jeszcze młody długo zastanawiał się przeglądając papiery. Wśród dokumentów zauważył list od Piechowskiego, dał mi go do rąk i kazał czytać. Ja czytałem te zdania, które były mniej obciążające, a gorsze opuszczałem. Nie wiem czy komendant to rozumiał, czy nie rozumiał. Odebrał mi ten list i napisał coś na rogu tego listu. Zawołał konwojenta, dał mu plik papierów, do których załączył wspomniany list i odesłał dalej. Było to w ostatnich dniach kwietnia 1920 r. Dzień pogodny i ciepły. Idziemy ulicami Krasnojarska zdrażając w kierunku wielkiego placu (ryнку), na którym stała wielka budowla otoczona zasiekami z drutu kolczastego. Na froncie budynku nad wielkimi drzwiami ogromny szyld na którym napisane były następujące słowa: "Guberskaja Czerezwyczajna Komisja do Borby z Kontrrewolucją Sabotażem i Spiekulacją". Drzwi frontowe otwarte. W głębi korytarza na betonowym podwyższeniu ustawiony był karabin maszynowy z lufą skierowaną do drzwi wejściowych. Zaraz przy wejściu oddany byłem wartownikom Czerezwyczajki. Następnie odprowadzono mnie na I piętro i oddano do dyspozycji jakiegoś Żyda o nazwisku Baranowski vel Barański. Śledczy przywołał mnie do stołu, kazał mi usiąść. Rozłożył papiery, wyjął list od Piechowskiego i kazał mi czytać. Sam zaś wziął się na język rosyjski. Poza moimi danymi personalnymi nie zdołał więcej napisać, gdy w sąsiedniej sali powstał wielki krzyk, widocznie kogoś mordowano. Śledczy nie ukończywszy protokołu, spał te wszystkie szpargały, zawołał z korytarza wartownika aby mnie pilnował i wyszedł. Wartownik zapytał mnie kto ja jestem? Dowiedziawszy, że Polak (był to Węgier) usiadł sobie w fotelu i zaczął mocno chrapać. W tej chwili przyszło mi na myśl, czy nie mógłbym wyciągnąć tego listu z paczki szpargałów. Wyciągnąłem go, pogryzłem i połknąłem. Po dłuższej chwili przyszedł mój śledczy i stale odgrażając mi, przeplatając rosyjskimi przekleństwami. Po zakończeniu wstępnych zeznań przy których używałem różnych wykrętów zamknięto mnie w piwnicy, w której był już inny Polak Józef Kominek, rodem ze Śląska Cieszyńskiego. Pierwsze jego słowa przy spotkaniu były: kiedy zostałem aresztowany? Gdy mu powiedziałem, nie chciał wierzyć (było to 10 maja 1920 r.). W piwnicy Czerezwyczajki bez drzwi i okien, ciemność była grobowa. Więźniów wpuszczano a raczej wpychano do tej męczarni przez drzwiczki w podłodze, które po wpuszczeniu zapierano i na tych drzwiczkach zawsze stał wartownik. Ilu więźniów było w tej ciemnicy dokładnie nie wiedział bo się z powodu ciemności widzieć nie mogli. Domyślał się tylko z rozmów, że było ich około 17; 13 Rosjan i 4 Polaków. Niektórzy byli tak zrezygnowani, że chcieli umrzeć. Dokuczał głód, straszne pragnienie i całe masy robactwa, pcheł, pluskiew, karaluchów, szczurów. Wszystkie śmiecie jakie nagromadziły się przy zmiataniu w pomieszczeniu wyżej zsypywano do ciemnicy, stwarzając dogodne warunki do rozmnażania się szczurów i wszelkiego robactwa.

Po jakiejś godzinie czasu przyszła zmiana strażników, którzy zaprowadzili mnie i Józefa Kominka do dość obszernej budowli z drzewa, ogrodzoną czworobocznym parkanem z desek. W czterech rogach tego parkanu pobudowane były budki, w których dzień i noc czuwali strażnicy. Podchodzimy pod bramę w parkanie, którą nam otworzono i wpuszczono na wielkie podwórze, oddając nas straży więziennej. Budynek piętrowy, zbudowany za czasów Aleksandra III służył jako tzw. "etapnaja tiurma", czyli więzienie etapowe, w którym odpoczywali różni zesłańcy przed katorżniczą drogą w głąb Syberii. Podobno w tym więzieniu miał przebywać Józef Piłsudski pędzony do Północno-wschodniej Syberii. A więc prowadzą nas. Idziemy na górne piętro po szerokich schodach i wchodzimy do wielkiej sali, w której znajdowało się około 100 ludzi. Byli m.in. Polacy z 54 dywizji, Polacy jeńcy austriaccy, Polacy Sybiracy, Polacy z armii carskiej, którym nie udało się uciec do Polski. Najwięcej było Rosjan. Zaraz po wejściu na salę zameldowano nas u komendanta sali, którym był - jak Rosjanie opowiadali - Żyd o nazwisku Togelfir. Był to agent Czerezwyczajki, który węszył i obserwował nastroje aresztowanych. Wszystkie prycze zajęte, położyliśmy się pod ścianą, w kącie sali, tj.: ja, Kominek i jakiś trzeci Polak, który później nie powrócił do kraju (zmarł w więzieniu na tyfus). Na sali cisza jak makiem siał. Rozmawiają ze sobą tylko wypróbowani przyjaciele i tylko szeptem. Jeść nie dostaliśmy nic. Miałem małą kromkę chleba, ale większą część dałem Kominkowi, bo był bardzo głodny. To co zjedliśmy musiało wystarczyć do dnia następnego. Na drugi dzień rano wchodzi dyżurny i krzyczy: "Paraszu wynasij!". Parasza jest to duża beczka, która miała pomieścić kloakę uczęszczających do niej 100 ludzi. Do wynoszenia naznaczone było codziennie dwie osoby za kolejką. Po bokach tej beczki były wystające uszy jak u wielkiego cebra, w które wkładało się wielki drąg dla łatwiejszego wynoszenia. Następnie przynoszą chleb, około 40 dkg na osobę, bardzo lichy z domieszką plew i ości. Nie zawsze dał się przekroić nożem, często się rozsypywał i dzielący zmuszony był dzielić go na kupki. Do tego dochodziło jakieś 1/4 litra wrzątku zamieszanego lichą mąką i to musiało wystarczyć do obiadu. Obiad dostarczali również w beczce, podobnej do opisywanej poprzednio. Zupę stanowiła gorąca woda zmieszana z stęchlą mąką, tworząca rzadką zawiesinę, okraszoną dzikim czosnkiem. Kolacja taka sama jak śniadanie i tak codziennie przez blisko 5 miesięcy. Cierpieliśmy straszny głód nie dający się opisać, a w godzinach przedpołudniowych przychodził morderczy ból żołądka, który trwał około godziny, do samego obiadu.

Umieszczeni byliśmy na piętrze, skąd było widać dokładnie pociągi wiozące czerwonoarmistów na front polski. Ten widok połączony z głodem stawał się nie do zniesienia. Gdy wojska polskie posuwały się dość spieszenie na wschód, zajmując Kijów i wiele innych miast, służba więzienna chodziła osłupiała, na twarzach ich można było wyczytać strach i niepewność oraz zubożenie. Ale gdy sytuacja odwróciła się na korzyść Armii Czerwonej

położenie więźniów w ogóle, a jeńców polskich w szczególności było straszne. Przesłuchiwania, bicie, zmuszanie do przyznawania się do czynów nie popełnionych i to przeważnie w godzinach nocnych doprowadzało do obłędu. Nareszcie wezwano i mnie przed oblicze jakiegoś Żyda czy Ukraińca. Pytał mnie ile miałem listów i co było pisane w nich? Ja już zorientowałem się, że w tej sprawie pogubili się. Zaprzeczałem wszystkiemu, o co mnie pytali. Mówiłem, że popełniono tu jakąś pomyłkę przez którą ja cierpię niewinnie. Następnie spisano protokół, który na moje życzenie dano mi do przeczytania i podpisania. Odprowadzono mnie do kaźni i wołano następnych, przeważnie Polaków.

Wiadomości z frontu. Wojska polskie w dalszym ciągu wycofują się, wiemy z telegramów, które nam codziennie dostarczają, chwaląc się: "Ni kakich pieriegaworów z Poliakami", Ze pokonali Judenicza, Denikina, Petlurę, Bałachowicza, Wrangla, Kołczaka i różne interwencje francusko - amerykańsko - angielskie. Pokonają też burżuazję polską i połączą się z robotnikami niemieckimi, otwierając tym drogę do wszechświatowej rewolucji. Po przesłuchaniach codziennie około 11-tej zgrzyt zamków i wchodzi na salę strażnik i czekista z listą, na której byli umieszczeni ci, którzy mieli iść na stracenie. Wymienię tych, których nazwiska zapamiętałem: Józef Baziak z zawodu nauczyciel ps. "Gierc" z okolic Rzeszowa, żołnierz Wiszniewski -Poznaniak, inż. Baroniecki, Pawicki - wnuk powstańca z 1863 r., Sienicki -kapitan armii carskiej i wielu, wielu innych, których nazwisk nie pamiętam. A ilu zginęło z wycieńczenia, czerwonki, tyfusu i innych chorób. A ilu potraciło zmysły, jak porucznik Dienstl - Lwowianin.

Pomiędzy tymi, którzy nie zostali wyprowadzeni w nocy na stracenie zapanowała wielka trwoga i pytanie co będzie następnej nocy. Nadchodzi noc, godz. 11-ta to samo wywołują z listy, wyczytawszy kilku z rozkazem: "Zabieraj rzeczy i wychodź!". Wiadomo było, że idą na śmierć. I tak co noc. Miejsca opróżnione zajmowali świeżo przybywający aresztanci różnych stanów i narodowości. Zostało nas jeszcze kilkunastu Polaków na tej sali. Codziennie rano gromadziliśmy się dziękując Bogu, że jeszcze żyjemy. Zastanawialiśmy się co począć, gdy którejs nocy wezwą nas. Jedni mówili uciekać, inni bronić się, jeszcze inni, do których ja należałem, nie zabierali żadnego głosu, bo wiedzieliśmy dokładnie, że to nic nie pomoże. Tego samego zdania był mój najlepszy kolega Kominek, bardzo dzielny żołnierz. Dla Polski gotów był poświęcić wszystko. Umiał pocieszać, tłumacząc, że sytuacja nasza będzie zależec od sytuacji na froncie i że pewien jest, że bolszewicy dostaną w skórę i staną się łagodniejsi. A ojczyzna o nas nie zapomni.

Przez cały czas pobytu w więzieniu śledczym codziennie wypuszczano nas na półgodzinną przechadzkę na podwórzu więziennym. Otoczeni silną strażą mogliśmy rozmawiać ze sobą tylko półszepem. Nie zastosowanie się do przepisu było karane karcerem, tj. ciemnym aresztem umieszczonym obok zlewu wszystkich odchodów a trzeba wiedzieć, że w sali znajdowało się

około 400 osób. Pewnego dnia podczas przechadzki podszedł do mnie kapitan Sienicki, o którym już wcześniej wspominałem i mówi do mnie, że tej nocy będzie wywołany czyli że pójdzie na śmierć. Obaj z Kominkiem staramy się rozmówić mu, ten jednak nie dał się odwieść od tego, z trudem powstrzymując się od płaczu. Wspominał o Polsce, o rodzinie, dał adres niejakiemu Anteckiemu, inżynierowi z Dąbrowy Górniczej, aby raczył powiadomić jego rodzinę w Końskiem. Zapytany na czym opiera to przecucie opowiedział o śnie, że przyszli w nocy po niego czerwonoarmiści i prowadząc obok wielkiej przepaści pchnęli go do niej, a gdy chcąc wyrwać się z tej przepaści, puszczone do niego coś w rodzaju wilka. Obudził się zmęczony i przestraszony tym, że noc następna będzie końcem jego życia. Ze spaceru przychodzimy do kaźni. Sienicki tu znów powraca do swoich przecuć. Mówi, że już więcej nie zobaczymy się. Na dowód zostawiam przy was koc i płaszcz. Były wypadki, ale to bardzo rzadkie, że niektórych przepędzano w nocy do więzienia, gdzie odsiadawali mordercy, rabusie i wszelkiego gatunku zbrodniarze z wieloletnimi wyrokami, a stamtąd można było zażądać rzeczy pozostawionych w więzieniu śledczym. Mam nadzieję, że ktoś z was zostanie, a jeśli się nie zgłoszę to znaczy, że nie żyję. Mija dzień, drugi, trzeci, a po płaszcz i koc nikt nie zgłasza się. Na czwarty czy piąty dzień przypędzono do naszej sali kilkunastu Rosjan, którzy przebywali czasowo w podziemiach Czerezwyczejki. Opowiadali o strasznych męczarniach i torturach, zmuszających oskarżonych do przyznania się do czynów nie popełnionych. Jeden z nich powiada: "niczewo nie podielajesz takaja sudba", gdyby wszyscy postąpili jak ten Polak, który wyrwał sztyk oprawcy i przebił go (to odnosiło się do Siennickiego) za co był torturowany i zamordowany. To się działo w podziemiach "Gubeczeka". Do tortur miano używać Chińczyków jako specjalistów do łamania kości, wrywania paznokci i wiele podobnych męczarni. O tym opowiadali mi dość poważni Rosjanie. Od tego czasu zmieniono sposób mordowania. Do każdego skazańca przeznaczano dwóch czekistów, którzy uśmiercali ofiarę w tył głowy. Równocześnie obok podziemi w "Gubeczeka", gdzie odbywała się egzekucja puszczano w ruch silniki samochodowe dla zagłuszenia strzałów i krzyku mordowanych. Następnie ciała pomordowanych ładowano na przyczepy i wywożono do głębokich dołów wykopanych za miastem.

Nadszedł miesiąc lipiec, ta sama historia. Codziennie napływają świeże rezerwy więźniów, uzupełniające miejsca tych, którzy odeszli od nas w nocy. Do więzienia wdarły się tyfus i czerwotka, na którą przeważnie chorują wygłodzeni i osłabieni Polacy. Zachorowałem też i ja na czerwotkę, a Kominek na tyfus. Zachorował też Sadowski, żandarm austriacki z Przemyśla. Z naszej czwórki tylko Anteckie oparł się chorobie. Mnie, Kominka i Sadowskiego skierowali na izbę chorych. Izba chorych niczym nie różniła się od izby ogólnej. Były w niej tylko sienniki. Leczenie żadne, dawano jakieś proszki 3 razy dziennie. Obsługiwał nas felczer, więzień. Radził nam, że

najlepszym lekarstwem przeciw czerwonce jest nie jeść i nie pić. Po kilkunastu dniach tej kuracji ból brzucha ustal. Kominek i Sadowski zostali w izbie chorych, a mnie odprowadzono do tej sali, z której przyszedłem. Nastrój ten sam. Jedni rozmawiają, inni modlą się, inni płaczą, a jeszcze inni leżą na barłogach, nie ruszając się wcale i wyglądają na pogodzonych z losem.

Wieści z frontu dla nas nie pocieszające. Jednak z telegramów i gazet, które nam dostarczano, mimo bolszewickiej propagandy, można było zauważyć, że wojska polskie zaczynają opanowywać sytuację. Na przykład w jednej z gazet umieszczone było, że Polacy nie myślą skapitulować, lecz zamierzają prowadzić wojnę w dalszym ciągu. Dowodem tego jest, że na front przybyły świeże dywizje armii Hallera w liczbie około 15 tysięcy żołnierzy i że trzeba spodziewać się silnych starć, którym Czerwona Armia zdolna jest przeciwstawić się.

Nadszedł sierpień 1920 r. Służba więzienna w ostrym pogotowiu i znacznie powiększona. Każde poruszenie na sali było uważane przez strażników za jakieś wielkie przestępstwo czy diabli wiedzą co. Wolno im było strzelać w celu zaprowadzenia spokoju. Budynek więzienny był z drzewa, kulki przelatywały na wskroś. W ten sposób w naszej sali raniono siedem osób, na szczęście ani jednego Polaka. Strażnicy nie przynoszą nam gazet ani telegramów. Są źli i rozwścieczeni, a co dziwniejsze zaprzestali wzywać na przesłuchanie Polaków i wywoływać ich w nocy.

22 sierpnia zbiórka wszystkich Polaków na podwórzu więzienia etapowego, a było nas około 150 osób i odmarsz do więzienia rzeczywistego. Był to ogromny czworoboczny gmach z cegły, z czasów cara Aleksandra I (1800 r.) Przeprowadzono nas pod więzienie, otwarto bramę i wpuszczono na podwórze więzienne, a z podwórza na korytarz więzienny. Na korytarzu ustawiono w dwuszeregu, przeliczono i oddano straży zawodowej. Równocześnie zjawił się jakiś gość z papierami i odczytał z listy wyroki wszystkich więźniów. Wyroki były w granicach od 3 do 5 lat. Ja zostałem zasądzony na 5 lat robót przymusowych. Po ogłoszeniu wyroków rozmieszczono nas w celach po około 20 ludzi w każdej celi. Polacy rozmieszczeni byli oddzielnie. W tym więzieniu wyżywienie nieco się nam poprawiło. Chleba razowego, pszennego otrzymywaliśmy około 55 dkg. Był on dość smaczny, bo w tych czasach w Rosji bolszewickiej każdy chleb był smaczny.

Po tygodniu czasu zbiórka wszystkich Polaków na korytarzu. Sprawdzenie, liczenie i odmarsz w kierunku wielkiego łagru, położonego około 3 kilometrów na wschód od Krasnojarska. Życie w obozie było już znośniejsze, wewnątrz obozu swoboda poruszania się. Odżywianie liche ale nieco lepsze niż w więzieniu, wody pod dostatkiem. W baraku, w którym nas umieszczono było dużo oficerów - Węgrów, nad którymi bardzo się znęcano, wymagano pracy nad siły, nawet w nocy. Nie wiem jak ci Węgrzy przetrwali i jaki był ich dalszy los, gdyż wkrótce nas stamtąd przenieśli. Nam, Polakom straż

obozowa specjalnie nie dokuczała. Do najgorszych robót posyłała Węgrów i Rosjan. Po tygodniu pobytu w obozie trochę myśmy wzmocnili się, bo zaczęli nas odwiedzać koledzy z miasta, którzy byli na tzw. Wolnej pracy. Przynosili do obozu dla kolegów chleba, ziemniaków i co mogli, sami nieraz nie dojadając. Mnie odwiedził Piotr Tyburczy z Jeziórki, przyniósł mi chleb i koszulę, podaną przez Jasia Hojnowskiego (wnuka powstańca z 1863 r.). Po kilku dniach po przybyciu do obozu zaczęły się zgłaszać różne przedsiębiorstwa w celu przydziału robotników do różnych robót w mieście i poza miastem Krasnojarskiem. Wysyłano nas grupami pod konwojem do wyładowywania z wagonów zboża, mąki, kartofli, soli, drzewa, itp. Dla mnie największym szczęściem było wyładowywanie mąki, która przybywała na wielkich barkach do Krasnojarska Jenisejem. A więc przybyliśmy na miejsce pracy. Barka stoi na uwięzi przy brzegu rzeki. Obok na torach kolejowych puste wagony, przygotowane na przyjęcie towaru. Mąka jest złożona na podłodze kadłuba. Chcąc ją wynieść na miejsce przeznaczenia, tj. do wagonu, trzeba było nie lada wysiłku. Najpierw z dna barki na pokład trzeba było pokonać strome schody, później pomost, który pod ciężarem uginał się, a nie mając poręczy, łatwo można było wpaść do wody. Gdy dochodziłem do wagonu do którego składowaliśmy mąkę, usłyszałem wielki krzyk. Obejrawszy się i zobaczywszy, że wszyscy biegną na ratunek, gdyż jeden z niosących zatoczył się i wpadł do wody. Korzystając z chwili zamieszania nie doniosłem worka z mąką do wagonu, tylko parę kroków za wagonem schowałem go w dole po wybranym węglu, przykrywając różnymi rupieciami. Po chwili wszystko się uciszyło, kolegę wyciągnięto z wody. Pomost wzmocniono linami z obu stron, robiąc coś w rodzaju poręczy i robota poszła dalej. Ale co teraz zrobić z workiem? Przypomniało mi się, że tu na stacji pracował Piotr Jezierski. Może on by coś wymyślił. Na szczęście znalazłem Piotra i mówię mu: tam i tam znajduje się ukryty przeze mnie worek mąki pszennej, oznaczony dwoma kijami ustawionymi w kształcie litery X. Powiadam, jak ci się uda to może u jakiegoś hadziaja wymienimy na suchary, które będą nam potrzebne przy powrocie do Polski. Jak wynikało z opowiadań kolejarzy, władze bolszewickie nie zaopatrywały w żywność powracających, zostawiając ich własnemu losowi. A jak ci się nie uda to trudno i tak rozeszliśmy się. Po kilku dniach, w drodze powrotnej po pracy przy wyładowywaniu ziemniaków, spotkałem się z Piotrem, który oznajmił mi, że razem z kolegami poszli w nocy na oznaczone miejsce i worek z mąką udało im się przynieść do wagonu, w którym mieszkali. Nasza grupa w dalszym ciągu pracuje przy transporcie. Każdy z nas stara się o dobre kieszenie i worki, by po powrocie z pracy przynieść coś do jedzenia dla siebie i kolegów, którzy nie mogą iść do pracy. Pomagamy Kominkowi, który po przebytym tyfusie nie może nabrać sił, Anteckiemu, który cierpi na ischias i wielu, wielu innym.

Zbliża się jesień 1920 r. Na froncie polsko-bolszewickim cisza. Podobno ma nastąpić, czy już nastąpiło zawieszenie broni i że wyznaczono miejsce

pokojowych w Rydze. We wszystkich obozach i poza nimi, gdziekolwiek Polacy znajdowali się, zapanowała wielka radość, że może wkrótce nadejdzie czas powrotu do ojczyzny.

W tym czasie przyszedł rozkaz ściągnięcia do obozu wszystkich osadzonych Polaków, do których i ja należałem, i zgodnie z wyrokiem odesłano nas na roboty przymusowe do korkijskich kopalń węgla, położonych około 15 km na północ od Krasnojarska. Po przybyciu na miejsce zakwaterowano nas w baraku będącym jeszcze w dość dobrym stanie. Wzięliśmy się za poprawianie pieców, budowanie pryczy, itp. Poprawiać było czym, ponieważ za czasów carskich w tym rejonie było wielkie letnisko wojskowe, które obecnie można było rozbierać i uzyskany materiał przeznaczyć na nasze cele. Po przybyciu do kopalni, porozdzielano nas po różnych gankach, gdzie pracowali starzy górnicy ze Śląska Cieszyńskiego. Mnie przydzielono do niejakiego Uzara, rodem od Bochni, pracującego wcześniej w polskiej Ostrawie. Praca w kopalni odbywała się ręcznie. Do górnika należało rąbanie węgla kilofem i zabudowanie wyrobnej przestrzeni. Do pomocnika należała wywózka węgla i pomoc przy budowie przestrzeni po wyrobieniu węgla. Wywózka węgla odbywała się taczkami i była bardzo męcząca. Aby wydostać się na powierzchnię trzeba było pokonać około 150-metrową drogę i to stale pod górę. Pracując w kopalni nie głodowaliśmy, normę żywnościową nieco podniesiono. Wszystkie zaboje (ganki) oświetlone były naftą. Każdy z nas idąc do kopalni brał z sobą flaszkę by ukraść pół litry nafty, z którą można było kupić chleba, ziemniaków i wiele innych rzeczy potrzebnych do życia. Stary Żyd, niejaki Zaricha klął Polaków na cały pysk, bo musiał dolewać naftę z wielkiej bańki do wszystkich lamp, w których nafty brakowało. Poza tym były jeszcze inne dochody. Jak już wspominałem, w tym rejonie, gdzie mieszkaliśmy było wcześniej letnisko a w nim wielki budynek teatru pokryty dobrą blachą, którą przerabiali nasze chłopcy na różne naczynia, mające duży zbyt w Krasnojarsku i okolicy.

W kopalni lepiej było pracować niż gdzie indziej. Tylko w drodze do kopalni odczuwaliśmy mróz i zawieje, ale jak przyszło się na miejsce było ciepło i cisza. Po skończonej pracy można się było umyć w łaźni z ciepłą wodą, tylko nie było się w co przebrać. Żadnej bielizny nie wydawano. Ja wprawdzie miałem zapasową koszulę i kalesony, ale trzymałem je na gorsze czasy. Ale czy mógł być gorszy? Ostatnie dwa lata bielizny nie nosiłem wcale, bo jej nie miałem. Zimą i latem ubierałem się w stare waciaki, a gdy było bardzo gorąco, to pracowało się nago.

Nadchodzi Boże Narodzenie 1920 r. Wszyscy obmyślają, w jaki sposób urządzić wigilię? Tego wszystkiego podjął się porucznik Tadeusz Gdula (Lwówianin). Zrobiliśmy zbiórkę pieniędzy, bo kopalnia choć licha ale coś nam płaciła. Wszystkie uzbierane pieniądze wręczyliśmy jemu, ten postarał się o sanki, wziął jednego z nas z kopalni do pomocy i udali się po liczej, głęboko zawianej drodze do Krasnojarska. W mieście udało im się kupić

niedrogo koninę z młodego zwierzęcia, kupili również mąkę. Załadowali to wszystko na sanie i jazda z powrotem. Przybyli wieczorem. Byli bardzo zmęczeni ale zadowoleni, że wszystko załatwili pomyślnie. Nadeszła wigilia. W jednej z większych izb były prymitywne stoły, ławy, gdzie wszyscy zgromadziliśmy się, a było nas około 50 ludzi. Na stole postawiono wielki kocioł z zupą kartoflaną, okraszoną cebulą, a w drugim wielkim naczyniu blaszanym znalazły się pierogi z gotowanej koniny. Wszystko to było podzielone i każdy podchodził ze swoim naczyniem jakie tam posiadał. Gdy wszystko było już gotowe, zabrał głos porucznik Gdula mniej więcej w te słowa: "gdy w Polsce rodziny nasze zasiądą do wieczerzy wigilijnej będą modlić się, aby mogli spotkać nas w wolnej Polsce o którą walczyliśmy. Tak i my, którzy doczekaliśmy tego uroczystego dnia, dziękujmy Bogu a zarazem prosząc Go aby ten rok był już ostatnim rokiem na ziemi syberyjskiej i aby już w następnym roku Święta Bożego Narodzenia mogli obchodzić w ojczyźnie naszej Polsce, wśród naszych najbliższych. A więc w tej intencji módlmy się według zwyczaju panującego w Polsce".

Po kolacji odśpiewaliśmy kilka kolęd i w nastroju, że nasze nadzieje nie będą zawiedzione, udaliśmy się na spoczynek. Zaraz po Świętach Bożego Narodzenia zaczął nas odwiedzać politruk kopalniany. Przychodził wieczorem, niby to raz chwalił, raz ganił ustrój bolszewicki. To znów chciał się dowiedzieć, kto był inicjatorem wieczerzy wigilijnej, lecz widząc że go nikt nie słucha, zaprzestał do nas przychodzić. Po kilkunastu dniach, gdy ułożyliśmy się do spania, usłyszeliśmy obok naszego baraku tupot końskich kopyt i szcęk szabel i dobijających się do naszych drzwi z krzykiem: "Odkrywaj!". Gdy im drzwi otwarto, do izby w której spaliśmy wpakowało się dziesięciu czekistów, uzbrojonych w rewolwery i szable. Pierwszą ich czynnością była ścisła rewizja. Szukali broni, ale przy sposobności zabierali lepsze brzytwy, noże a nawet i pieniądze np. srebrne ruble. Mnie zabrali brzytwę i 5 rubli w 20 kopiejkach srebrnych. Poza tym nie mieli co brać, bo myśmy wszyscy byli okryci w lice łachmany starych kufajek. Rewizja skończona. Rozkazali nam zabierać z sobą rzeczy i wychodzić. Wychodzimy i zaraz obkoczyło nas około 20 konnych, czyli na każdego wypadł jeden konwojent i marsz w nieznane. Mój Boże, zawieja, silny mróz, droga kopna, suchy lotny śnieg utrudnia nasz marsz. Konwojenci na koniach pomarżnięci ponaglają nas, odgrazając nahajkami. Podchodzimy wreszcie do Krasnojarska. Robi się widniej, dzień zbliża się ale latarnie po ulicach jeszcze świecą. Szliśmy 15 kilometrów przez całą noc. Kierują nas pod gmach "Gubczeka". Do tego samego, w którym byłem uwięziony i w którym podczas śledztwa udało mi się skonsumować zdradziecki list. Wprowadzono nas do dość dużego pomieszczenia w suterenie, przedzielonego ścianą, w której były drzwi i okienka wychodzące na zewnątrz.

Po przybyciu byliśmy tak zmęczeni, że pomimo silnego mrozu pot oczy nam zalewał. Usiąść nie było na czym, gołe ściany i cementowa posadzka.

Aby nie zamarznąć, chodziliśmy szybkim krokiem stale poruszając się. Około 8-ej schodzą się urzędnicy "Gubczeka" i wszyscy są zdziwieni naszym aresztowaniem i przekonani są, że tu zaszła jakaś pomyłka, którą będą starać się wyprostować i nas odeślą z powrotem na kopalnię. Tymczasem wydano nam po kromce chleba, którego nie jedliśmy tylko zostawiliśmy aresztowanym, którzy znajdowali się w areszcie tuż za ścianą. Wśród aresztowanych znajdował się porucznik Gdula. Aresztowanie "załatwił" mu politruk z kopalni. Około godziny dziewiątej przyszedł rozkaz aby wszystkich Polaków, których przyprowadzono w nocy, odprowadzić z powrotem i oddać pod zarząd kopalni. Aresztowanie nastąpiło przez pomyłkę, jaka zaszła jeszcze przed naszym przybyciem do kopalni. W baraku nr 40, w którym nasz umieszczono, wcześniej mieszkali robotnicy rosyjscy, posądzeni o kontrrewolucję. Przed naszym przybyciem przeniesiono ich gdzie indziej. Jednak w aktach "Gubczeka" figurowało, że dalej w tym baraku mieszkają Rosjanie. W taki to sposób dostaliśmy się w podziemia "Czerezwyczejki". A więc wracamy tą samą drogą, zawiąną suchym śniegiem, oznaczonej tylko tyczkami łoży lub brzeziny. Gdy nas pędzono do "Gubczeka" byliśmy otoczeni przez silny konwój konny, gdy powracaliśmy jest tylko jeden strażnik, jako świadectwo legalnego powrotu. Strażnikiem jest Polak o nazwisku Jarosz z Tarnowa czy okolic, żołnierz 5 dywizji, który przeszedł na służbę bolszewików. Powrót nasz był straszny. Nie wyspani, głodni, zmęczeni marszem nocnym, szliśmy ostatkiem sił, zachęcając jeden drugiego, abyśmy mogli dobrnąć jeszcze przed wieczorem. A trzeba wiedzieć, że dzień o tej porze roku na tej szerokości geograficznej jest bardzo krótki (niespełna 5 godzin). Gdy powróciliśmy na miejsce, oczom naszym przedstawił się smutny widok. Barak, który opuściliśmy dzień wcześniej był prawie pusty. Robotnicy korzystając z naszej nieobecności, naszymi gratami uzupełnili swoje mieszkania, zabierając prycze, pościel, płyty kuchenne i w ogóle wszystko co im wpadło pod rękę. Gdy koledzy dowiedzieli się, że powróciliśmy, przynosili nam nieco kartofli, chleba i dopomogli nam w urządzeniu mieszkania. Następnego dnia *zaczęła* się normalna praca w kopalni.

Około 10 stycznia 1921 r. przyszedł do mnie Piotr Tyburczy i przyniósł mi sucharów. Opowiedział mi, że znalazł pewną kobietę, która z całego worka mąki, zagospodarowanego przeze mnie, upiekła i wysuszyła suchary. Za tę pracę otrzymała buty. Całość tych sucharów znajduje się w baraku u niego i jeśli chcę to te suchary dostarczy mi na kopalnię. Ja mu powiedziałem aby suchary zatrzymał u siebie, a gdy kiedyś zajdzie potrzeba to się jakoś podzielimy. Była to niedziela i dość późno położyliśmy się spać, lecz zasnąć nie mogliśmy. Piotr opowiadał mi, że poprzedniej nocy śniło mu się stado wilków, z którego to stada wypadł wielki wilk i zaczął go szarpać, i że z tej szarpaniny obudził się. Ja to wziąłem za zły znak ale nic nie mówiłem Piotrowi. Po tej męczącej nocy wstaliśmy dość wcześnie, zagotowaliśmy gorzkiej herbaty, zagryźliśmy sucharami i odprowadziłem Piotra na drogę.

Załadowałem mu dwa arkusze blachy, z której wyrabiał różne naczynia i obiecałem mu przygotować większą ich ilość, gdy będzie miał zbyt na towar. Snem, który opowiedział mi Piotr tak się przejąłem, że stale myślałem tylko o nim. Przy rozstaniu upominałem go, ażeby z roboty nie oddalał się, ażeby unikał kłótni i wszelkich sporów z władzą i kolegami. Przeczynałem, czy to z opowiadań kolegów, czy to z własnych doświadczeń, że Piotra spotka jakieś nieszczęście, ale że to się skończy śmiercią, tego nie przeczułem. A więc po odprowadzeniu Piotra na jakieś 15 kroków i po dwukrotnym pożegnaniu się, powróciłem do baraku. Zaraz pierwszej nocy, chcąc przygotować blachy, udałem się do zdewastowanego teatru. Noc była piękna, księżycowa, cisza zupełna, mróz około 40 stopni. Zaraz biorę się do roboty. Oderwałem 4 arkusze, które spadając narobiły dużo szumu. Stałem, słucham, cisza. Zwinąłem arkusze w dość dużą rolę i przyniosłem do baraku. Wsadziłem je pod pryczę, gdzie miały czekać na przybycie Piotra. Czekam dzień, dwa, czekam tydzień, a Piotr po blachę nie przychodzi. Nie czekając dłużej, wybieram się ja. Droga już mi jest znana, po której już kilka razy przechodziłem. Doszedłszy do Krasnojarska zaraz skierowałem swe kroki do baraku, w którym Piotr mieszkał. Pierwszym spojrzeniem omiotłem miejsce, w którym spał Piotr. Było puste. Jeden z kolegów Piotra odezwał się do mnie w te oto słowa: "To ty nie wiesz co się stało z Piotrem? On nie żyje. Został zabity przy grze w karty przez niejakiego Staszczyszyna, pochodzącego z okolic Sambora". Tak straciłem dobrego przyjaciela i rodaka, o którym do dnia dzisiejszego zapomnieć nie mogę. Koledzy ś.p. Piotra rzucili się na zabójcę i byliby go zamordowali, gdyby nie natychmiastowa interwencja milicji, która ochroniwszy go, zamknęła w więzieniu. Co dalej z nim się stało? Nie wiem. Wiem tylko tyle, że odjeżdżając do Polski, Staszczyszyn siedział w więzieniu. Czy był sądzony? Tego nie wiem. Pomyślcie sobie drodzy rodacy do czego doprowadziła gra w karty. Ochłonawszy z żalu wzięłem worek z sucharami, który wisiał na ścianie i udałem się w drogę powrotną do kopalni. Na miejsce przybyłem późnym wieczorem, zmęczony dźwiganiem worka i blachy. Na drugi dzień jak zwykle idziemy do pracy. Na drodze spotykamy kilku hadziaków, którzy kierowali się do naszego baraku nr 40, chcąc wynająć kogoś z naszych kolegów do zabijania psów i ściągania skórek, które muszą dostarczyć do punktu skupu. Z naszego baraku zgłosiło się czterech, których nazwisk nie pamiętam, oprócz jednego Pawła Pastułę ze wsi Turza spod Sokołowa. On to zgodził się ściągnąć skóry z 20 psów. Za jaką cenę, tego nie wiem, dość że przed wieczorem przybyli na kopalnię, przywożąc na saniach 20 sztuk psiego mięsa. Mięso rozwiesiliśmy na werandzie naszego baraku i od tego czasu skończyło się nasze niedojadanie. Gotowaliśmy na studzieninę, smażyliśmy kotlety, itp. Dość powiedzieć, że psina jest dobrym mięsem, ale tylko z psów młodych.

Tak pracując na kopalni, dotrwaliśmy do marca 1921 r. W końcu marca przed Świątami Wielkanocnymi przybył do naszego baraku jakiś bolszewik,

przedstawiając się jako artysta, oznajmił nam, że między Polską a Rosją został zawarty pokój i na podstawie zawartych układów, będziemy mogli w krótkim czasie opuścić Rosję. Tymczasem, w chwilach wolnych od pracy będzie nam wolno iść do miasta, do kościoła lub gdziekolwiek, nie oddalając się zbyt od Krasnojarska. Poza tym zaczął wykrzykiwać, że Piłsudski jest największym wrogiem Rosji i jego samego. Zwróciliśmy mu uwagę, że tymi słowami obraża całą Polskę i wszystkich Polaków, i żeby więcej z takimi komentarzami do nas nie przychodził. Tak też i uczynił.

Nadchodzi kwiecień. Robi się coraz cieplej. Zaczynamy się dopominać powrotu do Polski. Robimy byle dzień zeszedł. Wobec tego postanowiono nas odesłać do Krasnojarska, do obozu. W obozie spotkaliśmy dużo znajomych kolegów, jeszcze ze służby w dywizji. Odżywianie liche. Codziennie pędzą do roboty pod konwojem. Mnie wyznaczono do wożenia wody do kuchni obozowej. Do pomocy dano mi nie byle kogo, tylko profesora UJ Romana Dybowskiego, wykładowcę języka angielskiego. Woziliśmy obaj przez dwa tygodnie, zaprzęgnięci do dwukołowego beczkowozu. Praca była ciężka, bo wózek ciągnęło się po błotnistym terenie. Po około trzech tygodniach wybrano około dwudziestu więźniów, wśród których byłem i ja, do pracy w wielkim, liczącym 8 hektarów, ogrodzie warzywnym. Ogród prowadzony był wzorowo, uprawiano w nim ziemniaki, pomidory, ćwikłę, marchew, groch, cebulę, sałatę, karpiele, rzodkiewkę, kalafiora. Wszystkie warzywa przeznaczone były do krasnojarskich stołówek. Praca jak zwykle, pielenie, podlewanie, przerywanie. Co tylko nadawało się do jedzenia, mogliśmy spożywać. Do tego dostawaliśmy funt chleba i 1/4 litra mleka, tak że głodu nie odczuwaliśmy. Moim zajęciem było obsługiwanie kieratu konnego, którym dostarczano wodę do podlewania warzyw w ogrodzie. Kierat zbudowany był nad rzeczką Kacza, wpadającą do Jeniseju. Na wielkim kole przyczepione były wiadra, które przy obrocie czerpały wodę i wylewały do koryta połączonego z rowem przekopanym przez środek ogrodu. Od tego rowu odchodziły małe rowki, które rozprowadzały wodę po całym ogrodzie.

Po dwumiesięcznej pracy w ogrodzie ściągnięto nas do obozu. Przed naszym przybyciem do obozu, odesłano już do Polski trzy eszelony naszych kolegów - jeńców 5 dywizji. Zaczęto rejestrację na eszelon czwarty, który odjechał z końcem sierpnia 1921 r. Nareszcie przystąpiono do organizowania piątego eszelonu. Z jego organizacją władze bolszewickie wcale nie spieszyły się. Nie mieli kim zastąpić wielu prac i specjalności wykonywanych przez Polaków. Nie wiadomo jak długo by to potrwało, gdyby nie protesty i prośby wysyłane do Komitetu Repatriacyjnego i Polskiego Czerwonego Krzyża w Moskwie. Tym wszystkim kierował profesor Roman Dybowski, będący również jeńcem 5 dywizji. Aby przyspieszyć powrót pozostałych jeńców 5 dywizji, na wniosek Komisji Repatriacyjnej wysłano do Moskwy delegację na czele której stał Kazimierz Gintowt- Dziewałłowski, były oficer i organizator 5 dywizji. Dziewałłowskiemu jakimś cudem udało się uniknąć

niewoli i dostać się do Polski. Rząd polski w porozumieniu z rządem rosyjsko-sowieckim upoważnił go do wydobycia chętnych do wyjazdu do kraju Polaków w ogóle, a w szczególności Polaków - jeńców 5 dywizji. W końcu września przybył on do Krasnojarska jako przewodniczący delegacji. Wcześniej, przed jego przybyciem, przyszedł do naszego obozu zastępca szefa "Gubczeka" niejaki Karłowski. Przyniósł nam dużo gazet komunistycznych i ostrzegał aby, gdy przybędzie delegacja, nie rozgadywać się, nie żalić, bo to nic nie pomoże, a może tylko zaszkodzić w wyjeździe, itp. Po dwóch, trzech dniach przyszedł do naszego baraku Dziewałłowski w towarzystwie jakiegoś komunisty. Ogłosił nam, że od następnego dnia czynna jest Kancelaria Repatriacyjna dla wszystkich obywateli polskich, chcących powrócić do kraju, i że trzeba się w niej zarejestrować. Powiedział nam, że w porozumieniu z Polskim Czerwonym Krzyżem będzie wydawał dla najbardziej potrzebujących odzież, obuwie, żywność, lekarstwa. Praca z organizowaniem piątego eszelonu nabrała tempa. Ściągano ludzi z różnych miejsc do obozu, spisywano i liczono. Gdy wreszcie ilość jeńców wyniosła 1000 ludzi, wszystkich umieszczono w wagonach (liepłuszkach), w każdym po 40 ludzi. Było to 1.X.1921 r. w Krasnojarsku na Syberii. Radość wielka, że doczekaliśmy się tej ważnej chwili, że możemy opuścić tę krainę łez i niedoli, krainę nędzy i wielkiego głodu, krainę kłamstwa i niesprawiedliwości. Jedziemy do Polski, o którą walczyliśmy i której poświęciliśmy tyle krwi. Jedziemy do Polski, którą niezgoda doprowadziła do 150-letniej niewoli. Chociaż wiemy, że w Polsce nie będzie dobrze, bo być nie może. 150-letnia gospodarka Niemców i Moskali nie mogła wyjść na korzyść Polakom. Okupant starał się zniszczyć plemię polskie tak moralnie jak i też materialnie, używając do tego drakońskich środków: łagry, zsyłki, głód i mrozy syberyjskie, wysiedlenia, mordowanie jeńców wojennych. Najgorsze było to, że starano się zatruć ducha narodu i wszelką myśl o Polsce (co się im nie udało).

Po zajęciu miejsc w wagonach zaczęliśmy obliczać, jak długo potrwa nasza podróż do granicy polskiej? Jedni mówili miesiąc, inni - dwa miesiące, ale tak jedni jako też i drudzy nie przypuszczali, podróż nasza potrwa 5 miesięcy. Otóż na stacji Krasnojarsk staliśmy 3 tygodnie, na stacji Itat staliśmy 1 tydzień, na stacji Tajga-Tomsk 2 tygodnie, a ile było przypadków, gdy pociąg stanął w pustym stepie i nie mógł z miejsca ruszyć. Wtedy wyskakiwaliśmy z wagonów i pomagaliśmy pchając pociąg. Gdy lokomotywa się rozruszyła wskakiwaliśmy z powrotem do wagonów i jazda dalej, aż do następnego postoju. Tak dowlekliśmy się do Omska, stolicy Syberii na samo Boże Narodzenie, przebywszy w tym czasie niecałe 1500 wiorst. Coraz bardziej daje się odczuwać brak żywności. Jesteśmy zmuszeni wymieniać nasze mundury, które otrzymaliśmy z PCK, na żywność. Prowiant, który znajduje się w wagonie naszego pociągu delegat PCK zachowuje na gorsze czasy. Ale i to nie wiadomo czy uda się zachować, gdyż mąką i innymi produktami żywnościowymi trzeba okupić naczelników stacji i innych darmozjadów bolszewickich aby łaskawi byli przepuścić nasz pociąg na następną stację.

Przybywszy do Omska podstawiono nasz eszelon naprzeciw drewnianych, starannie wybielonych baraków. Na ścianie frontowej jednego z baraków napisane było czarną farbą "Chaliernyje baraki". Ostrzeżenie aby nikt nie zbliżał się i nie zaraził tą straszną chorobą. W 1919 roku w Omsku wybuchła epidemia cholery. Na tej stacji staliśmy około trzech tygodni. Mrozy straszne, palić nie ma czym. Jediną rzeczą nadającą się do palenia był choleryczny barak, który jednej nocy porznięty i porąbany znalazł się w naszych wagonach. Na szczęście nikt z naszych nie zaraził się i nie zachorował. Parę dni przed wyjazdem z Omska udało mi się dobrą bluzę wojskową, którą miałem z PCK wymienić na około 3 garnce ziemniaków, kawał mięsa i garniec pszenicy. Przybywszy z bazaru wzięliśmy się z kolegą Józefem Makówką (urzędnikiem pocztowym) z Dębłina do obierania kartofli. Obierzyny wyrzuciliśmy przez okno wagonu. Na zewnątrz wagonu zobaczyliśmy młodą kobietę z dwojgiem małych dzieci w wieku 4-6 lat. Zbierali te obierzyny. Dzieciaki pomagające matce wkładały surowe łupiny do ust, chciwie gryząc, by zaspokoić głód. Można sobie wyobrazić, kto był przyczyną głodu i nędzy w tak bogatym kraju.

W ostatnich dniach grudnia 1921 r. rusza nasz pociąg z Omska kierując się na północny zachód do miasta Tiumeń, czyli zbliżamy się do Uralu, granicy Europy i Azji. Pociąg jedzie dość dobrze, bez większych przestojów, tak że po dwóch czy trzech dniach przybyliśmy do Permu, położonego już w europejskiej części Rosji. Wieczorem, gdy pociąg zatrzymał się na stacji, jedni udają się za kupnem czegoś do zjedzenia, inni za wrzątkiem, jeszcze inni idą na ogromne poczekalnie stacyjne. Z naszego eszelonu niejaki Michalski ze Lwowa powrócił ze stacji i zaczął opowiadać nam, co na stacji widział: "Wszystkie poczekalnie są zajęte przez masy ludzi, wynędzniałych, obdartych, chorych, leżących pokotem, umarłych i umierających, tak starszych jako też i dzieci". Wybrałem się z kilkoma kolegami na stację, aby osobiście przekonać się o prawdziwości opowiadania Michalskiego. Rzeczywiście, jak tylko weszliśmy na poczekalnię, uderzył nas w nozdrza wielki fetor nie do zniesienia. Natychmiast musieliśmy opuścić tę straszną trupiarnię. Chcąc dowiedzieć się o przyczynie tak wielkiego zgrupowania ludzi, jak się wydawało biernie oczekującego na śmierć, zapytaliśmy napotkanego kolejarza. Odpowiedział, że przyczyną jest głód, który powstał w guberniach orenburskiej, ufińskiej, samarskiej i innych. Przed wojną, za czasów carskich zboża, mięsa i innych produktów żywnościowych było pod dostatkiem. Teraz przez różne zarządzenia, zabieranie, przymusowe kontyngenty, grabieże zgodnie z hasłem "co twoje to moje", rolnik przestał obsiewać pole bo nie miał czym. Uciekał w nadziei, że środki do życia znajdzie w innych częściach Rosji, np. na Syberii. Zdarzało się, że cała ludność poszczególnych wsi i miast opuszczała swoje domostwa i włókła się do stacji kolejowych, oddalonych nieraz setki kilometrów, znacząc przebytą drogę trupami. W takich okolicznościach paręset ludzi znalazło się na poczekalni stacji kolejowej w Permie, mając nadzieję, że znajdą się odpowiednie władze i

dopomogą im przenieść się w miejsca mniej głodem dotknięte. Jednak tymi nieszczęśliwcami nikt nie interesował się. Między głodnych i wymarżniętych ludzi wdarł się tyfus i kosił niemiłosiernie. Co się z nimi stało? Tego nie wiem, bo na drugi dzień tę koszmarną stację opuściliśmy.

Następnie nasz eszelon kieruje się na Wiatkę-Wołogdę, gubernię obfitującą w wielkie lasy, tak że paliwa dla naszej lokomotywy jest pod dostatkiem. Na stacjach i stacyjkach staranie obsługiwanych można było dostać wrzątku do herbaty, pieczonych kartofli. W guberniach południowych było to nie do pomyślenia. Jedziemy dość szybko, tak że po kilku dniach przybyliśmy do Wołogdy a stamtąd w kierunku południowym na Moskwę. Zaraz na drugi dzień po przybyciu do Moskwy (21.1.1922 r.) zostaliśmy zaopatrzeni przez PCK w żywność na parodniowy postój w tym mieście. Dostaliśmy mąkę, soczewicę, słoninę i małą porcję chleba. Ponieważ przygotowania do dalszej podróży do granicy polskiej mają potrwać parę dni, postanowiłem razem z kilkoma kolegami zwiedzić niektóre obiekty Moskwy, m.in. Kreml, siedzibę carów. Kreml jest ogromną budowlą z cegły, obudowaną bardzo wysokim, grubym murem. Odgraniczony jest od starego miasta rzeką Moskwą. W pobliżu Kremla wybudowano wielki teatr państwowy, w którym miał okazję grać nasz skrzypek Feliks Dzierżanowski, który powracał razem z nami, jako jeniec 5 dywizji. Z boku przed wejściem do teatru na cokole stoi pomnik Minina i Pożarskiego, którzy dali hasło do powstania przeciw Polakom w 1612 roku. Godna uwagi jest cerkiew w pobliżu Kremla pod wezwaniem "Spasitiela Chrysta", wybudowana za czasów cara Iwana Groźnego. Jest prawdziwy cud - piękna. Tak urzekła swym pięknem cara, że aby nie powstało coś podobnego gdzie indziej, mistrza budowy kazał zamordować. Po wygładzie mieszkańców Moskwy można było sądzić różnie. Jedni porządnie ubrani, o pełnych twarzach, inni zaś w łachmanach, bladzi i wychudzeni. Kupić towaru nie można było Wcale, poza sacharyną. Przy studniach i wodociągach długie kolejki, długie nieraz na kilkadziesiąt metrów.

Po paru dniach postoju zostaliśmy zaprowiantowani na cztery dni, gdyż w ciągu tego czasu mieliśmy dojechać do granicy polskiej. Zaraz w pierwszym dniu po wyjeździe z Moskwy (było to około 25.1.1922 r.) przybyliśmy do Mińska i tutaj staliśmy około 20 godzin. Na postoju przychodziło do nas dużo młodych ludzi, przeważnie Polaków, których w rejonie Mińska była bardzo duża kolonia. Wszyscy narzekali na rząd polski, że ich zostawił na pastwę losu. Na te narzekania nie mieliśmy żadnej odpowiedzi ani rady, zbywaliśmy wszystkich milczeniem.

Z Mińska przybyliśmy do Orczy, do jednej z większych stacji przygranicznych. Stąd w czasie I wojny światowej szło całe zaopatrywanie frontu północno-wschodniego. Teraz z tego wszystkiego pozostały tutaj puste magazyny i wstrętne baraki służące do składania zmarłych wygnańców, uciekinierów i innych nieszczęśliwców, którzy chcieli dostać się do rodzinnych pieleszy, opuszczając raj bolszewicki.

Jak już wspomniałem przybyliśmy do Orczy, wielkiej stacji węzłowej. O jej rozmiarach świadczyła ogromna ilość torów kolejowych poplątanych w różne kierunki. Na torach stało dużo pociągów z wygnańcami z roku 1915, wypędzonych przez cofające się wojska rosyjskie. Nie wiadomo z jakich przyczyn władze rosyjskie (bolszewickie) zatrzymały te pociągi pełne powracających ludzi do Polski, nie dając im żadnej opieki, zostawiając ich na łasce losu, głodnych i obdartych. Szerzyły się wśród nich tyfus i inne choroby, dziesiątkując całe pociągi. Z takich guberni jak: samarska, ufimska, orenburska, taszkiencka ginęło około 80 % dzieci i starców. Widziałem na własne oczy, jak wynoszono z wagonów konające dzieci lub dzieci tulące się do konających matek, z niektórych wagonów wyrzucano zupełnie zamrożone trupy. Dzisiaj, gdy wspomnę sobie o tym, to dreszcz przechodzi po całym moim ciele.

Nasz eszelon również postawiono na bocznym torze obiecując, że zostanie odprawiony w dniu następnym. Podróż do granicy polskiej nie powinna wynieść więcej jak kilka godzin, gdyż odległość do stacji granicznej Pogorzelce wynosiła około 45 wiorst. Tak oczekując z dnia na dzień, przestaliśmy przeszło tydzień, żyjąc obietnicami. To jutro, to pojutrze, nie ma czym już ogrzewać wagonów, nie ma już co jeść. Co tu robić? Zebraliśmy się wszyscy, cały eszelon, a było nas około 1000 ludzi i uchwaliliśmy petycję, że jeżeli nam nie dadzą opału, jedzenia i nie odstawią do Polski, to wybieramy się na własną rękę. Co będzie to będzie, pójdziemy pieszo. Władze bolszewickie niekoniecznie przestraszyły się naszym ultimatum bo wiedziały, że połowa ludzi z naszego eszelonu nie jest zdolna do 50-kilometrowego marszu z braku obuwia, odzieży, a przede wszystkim ze względu na choroby. Jednak aby uspokoić nas, wydano nieco żywności i obiecano załatwienie naszego wyjazdu, zwalając całą winę na rząd polski, co było wierutnym kłamstwem. Niezależnie od tego obiecano dać nam pracę od następnego dnia. Tylko jak tu zatrudnić 1000 ludzi? Po większych targach ustalono, że do pracy przyjmą około 300 ludzi. A jakaż to praca? Jak już wyżej wspomniałem z powracających pociągów wyrzucano zmarłe zwłoki ludzkie, które przysypywane były śniegiem i tworzyły wielkie zaspę. Otóż do usuwania tych zasp i śniegu przeznaczano codziennie 300 ludzi. Tyle, ile posiadali łopaty do odrzucania śniegu. Podzielono nas na grupy. Jedni odkopywali trupy i usuwali śnieg z torów, inni zaś układali zwłoki na saniach i zwozili je pod magazyny, które podczas wojny służyły na różne składy. Jeszcze inni układali zwłoki w magazynach, w których miały przetrwać do wiosny, kiedy to po odmrożeniu ziemi łatwiej będzie je pogrzebać. Po trzech dniach takiej wstrętnej pracy dopominaliśmy się zapłaty, gdy zawezwano nas na stację kolejową i oznajmiono nam, że za dniówkę wypłacą każdemu 80.000 rubli. Za dowód, że ktoś pracował służyła łopata, którą przy wypłacie oddawało się magazynierowi. Zaznaczam, że aby dostać się do roboty, trzeba było wstać bardzo wcześnie i stanąć w kolejce, czekając na magazyniera wydającego łopaty. Ta praca trwała krótko bośmy zastrajkowali, ponieważ nie wszyscy dostali

przydział ze względu na brak łopat, a po wtóre za jeden funt chleba trzeba było zapłacić właśnie 80.000 rubli.

Bolszewicy widząc, że dalsze zatrzymywanie jeńców polskich w pobliżu granicy, może się źle skończyć, postanowili nas już nie zatrzymywać i odstawić nas do stacji granicznej Pogorzelce, leżącej na skraju Puszczy Białowieskiej. Było to 22.11.1922 r. Gdy eszelon przejechał granicę i stanął na ziemi polskiej, wszyscy kto żyw wyskakiwał z wagonów i jak na komendę całował ziemię. Następnie odśpiewano Rotę Konopnickiej. Radość była wielka, Ludzie płakali, uściskom nie było końca. Następnie podtoczony został pociąg polski na miejsce wycofanego bolszewickiego. A więc jesteśmy już w wagonach pociągu polskiego i ruszamy w kierunku zachodnim.

Pociąg pędzi szybko, jeżeli są przestoje to tylko kilkuminutowe. Około północy przyjechaliśmy do jakiejś stacji, której nazwy już nie pamiętam. Pociąg stanął. Przychodzi rozkaz by wziąć menażki i pójść na stację po obiad. Wchodzimy, ustawiamy się w kolejkę. W kuchni czysto, kucharze w białych kitlach. Jedni wydają chleb i kielbasę, inni wydają ryż okraszony sosem. Po skonsumowaniu obiadu powróciliśmy do wagonów i jazda dalej w kierunku zachodnim. Po obu stronach toru widać tylko sterczące kominy i kupy gruzów popalonych wsi z okresu I wojny światowej i wojny polsko-bolszewickiej. To znów kilometrami ciągną się zasieki z drutów kolczastych. Urzędy kolejowe mieściły się w wagonach kolejowych, w miejsce spalonych stacji. Mosty kolejowe tymczasowe, wybudowane z drzewa. Zniszczenia wojenne ogromne. Taki obraz zniszczeń przedstawiał się do samego Brześcia, do którego przybyliśmy 25.11.1922 r. Z Brześcia skierowano nas do Dębina na czterotygodniową kwarantannę dla izolowania chorych umieszczenia ich w szpitalach. Na stacji kolejowej w Dęblinie oczekiwał nas oddział wojska 15 pułku piechoty z orkiestrą, sztabem pułku z pułkownikiem na czele. Powitanie w bardzo pięknych i wzruszających słowach wygłosił ksiądz kapelan. Po odegraniu hymnu odprowadzono nas do obozu, który przygotowany był dla powracających z Rosji. Zaraz na wstępie zaprowadzono nas do wielkiej łaźni z ciepłą i zimną wodą, natryskami i wannami. Kto miał przydługie włosy strzyżono mu je. Całe ciało pędzlowano jakimś płynem i wydawano każdemu kawałek mydła i ręcznik. Każdy mył się ile chciał, mycie szło szybko i sprawnie i nie trwało dłużej jak dwie godziny. Po wyjściu z łaźni pod okiem lekarza wydawano każdemu bieliznę i umundurowanie. Mundury po większej części wojskowe przenoszone i poprawione. Po wymyciu i umundurowaniu się rozmieszczono nas w bardzo porządnym barakach o piętrowych pryzkach, na których były przygotowane sienniki i koce, których w Rosji nie spotykało się. Jedzenia mieliśmy pod dostatkiem, cztery razy dziennie.

W jednym z baraków urządzono świetlicę, w której można było wypożyczyć książki i poczytać gazety. Życie zaczynało być pełne nadziei, tylko ta kwarantanna wydawała się za długa.

Po kilku dniach pobytu w obozie zaczynają nas odwiedzać krewni, znajomi, czy po prostu ciekawscy. Jak wynika z rozmów, jedni zadowoleni byli z powstania Polski, inni nie. Zależy jak kto ceni powstanie i niepodległość Polski i w jakiej sytuacji się znajduje. Jednym słowem poznawało się, z kim się ma do czynienia. Mnie również odwiedził Jan Sudoł, który jechał do Warszawy posłować.

Nareszcie kwarantanna ma się ku końcowi. Wszystkich według specjalności dzielią na grupy i odsyłają do różnych pułków. Mnie razem z wieloma odsyłają do 82 pp. W Brześciu n/Bugiem, którego dowódcą był pułkownik Ankowicz., były dowódca 3 pułku 5 dywizji na Syberii. Po przybyciu do Brześcia umieszczono nas w koszarach, w których spotkaliśmy dużo znajomych oficerów, podoficerów i szeregowych przybyłych wcześniej z Syberii, a którzy byli załączkiem 82 pp. Do zakończenia prac Komisji Likwidacyjnej, do której i mnie powołano zeszło około 8 dni. W międzyczasie w godzinach wolnych od pracy wychodziliśmy na rynek, po rosyjsku zwanym "barachołką", a po polsku giełdą albo handlem starzyzną w celu zorientowania się o życiu w powstałej Polsce. Pierwsze, o dziwo! Zauważyłem budki z chlebem, wędlinami - normalnie, tak jak przed wojną po wszystkich miastach i miasteczkach w Galicji. Ludzie dobrze ubrani i weseli, rozmawiają głośno, nie boją się, że ich podsłuchuje jakiś "czekista" (enkawudzista). Na rynku wielki ruch i jak zwykle pełno Żydów nawołujących i zachwalających swoje towary. Ja mając około 20 tys. marek polskich zdawało mi się, że posiadam wielki majątek. Gdy jednak zobaczyłem ceny, przetarłem oczy. Za spodnie, które kupiłem zapłaciłem 2 tys., za czapkę 500 marek polskich. Jednak nie dziwiła mnie ta drożyzna i mała wartość pieniądza, bo w Rosji przyzwyczajeni byliśmy do karkołomnego spadku rubla i milionowych obliczeń.

W dniu 31.III. 1922 r. po wypłacie "lemingu" każdy otrzymał zaświadczenie demobilizacyjne, bilety kolejowe i jazda do domu. Największą grupą była grupa małopolska, do której i mnie przydzielono. Jechaliśmy przez Warszawę i Kraków. Po drodze grupa stawała się coraz mniej liczna, tak że do Rzeszowa przybyło nas zaledwie kilkunastu. Około godz. trzeciej, czwartej wyszedłem ze stacji kolejowej w Rzeszowie i udałem się w kierunku Głogowa. Była to niedziela, dzień pochmurny ale bez opadów. Szedłem zwawym krokiem. Zdawało mi się, że wszystko jest po staremu. Żadnych zniszczeń wojennych nie zauważyłem. Natomiast spostrzegłem ziemne prace, jak również nowo wznoszone budynki pod mającą powstać trasę kolejową Rzeszów - Kolbuszowa - Tarnobrzeg. Przeszedłszy Głogów i las stykowski, skręciłem na drogę prowadzącą do Widelki. Minawszy ostatnie zabudowania wyszedłem na gościniec zwany "Maziarskim". Wchodzę do lasu zembrzańskiego. Zaraz na skraju w miejscu, gdzie w roku 1895 stała karczma wyrósł gęsty olszowy las i zaciemnił gościniec tak, że miałem trudność odnalezienia go. Po krótkim namyśle zorientowałem się i wyszedłem właściwą drogę i miejsce, w którym przed z góry siedmiu laty spostrzegłem prze-

biegającego zająca, gdy brat Paweł odwoził mnie na ćwiczenia wojskowe. Miejsce to uwidocznione było resztką spróchniałej figury, na której umieszczona była Męka Pańska.

Przeszedłszy las zembrzański wyostałem się na pola dzikowieckie i doszedłem do granicy pól lipczańskich tzw. za Szosą. Na końcu naszego pola postawiony był krzyż przez moją babkę w 1841 r. Zobaczywszy ten krzyż ukląknąłem dziękując Bogu, że dopomógł mi powrócić z tej strasznej niewoli. Podniosłem się i skierowałem się do wsi.